

SIER

TYGODNIK ŻYDOWSKI
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz
sobót i niedziel — Redakcji 11—13.
Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.
Numer zamyka się w środę

Dziś w numerze:

GRUENBAUM
SCHIPER
KLEINBAUM
HALPERN
ASSAF
GLIZER

BIALIK
FEUCHTWANGER
BRANDSTAETTER
LASKER-SCHÜLER
RUMELT
LESER

28 lutego 1937

WARSZAWA

17 Adar 5697

I. GRUENBAUM

Ś. P.

Dr H. NUSBAUM

Na ulicy rzuciła mi się w oczy wielka klepsydra, uwieńczona wielkim czarnym krzyżem, pod którym widniało nazwisko Henryka Nusbauma. Podszedłem bliżej: dn. 19 lutego zmarł dr. Henryk Nusbaum, lat 88, opatrzone świętymi sakramentami. Chwilę stałem przed klepsydrą, odczytując litanie zaszczytów i dostojności zmarłego, towarzyszy, których był założycielem lub prezesem. Naprawdę szukałem pomiędzy nimi znanych mi nazw towarzyszy żydowskich, którymi zmarły kierował. Wymazane zostały z księgi życia Henryka Nusbauma.

Odszedłem od klepsydry. Opadły mnie wspomnienia owych dni dalekich, kiedy tożsamość boje słowne o drogi życia, o idee, o dążenia i programy. W tych bojach brał udział dr. Henryk Nusbaum, wówczas mąż w sile wieku, pełen zapału i wiary głębokiej w swe posłannictwo krzewienia Polskości wśród ciemnych mas żydowskich. Był w oczach naszych symbolem, sztandarem, uosobieniem idei asymilacji żydostwa, narodowego samobójstwa, rozpłynięcia się w morzu polskim. Ale tylko pod względem narodowym. Pod względem ideowo-religijnym trwał mocno przy Judaizmie i jego prawdach głębokich. Dla nas, traktujących te sprawy pod kątem widzenia naukowym i świeckim, dla nas, pragnących na grunt żydowski przeszedzieć pojęcia o narodzie, o jego wyzwoleniu, o ojczyźnie, pojęcia więc, które były aktem wiary Polaka Nusbauma, — dla nas Henryk Nusbaum miał słowa pogardy.

Spotykaliśmy się w salonie b. p. Sokołowa. Nusbaum z zapałem bronił swych tez asymilacyjnych, grzmiał przeciw syjonizmowi, ciskał pioryuny na nas, młodych, za znieważanie świętości żydowskich. Nasz syjonizm i dążenie do ożywienia mowy hebrajskiej — rzucił nam raz w twarz — robi na nim wrażenie ruchu barbarzyńców, którzy na górze Synaj rozwieszają brudną swą bieliznę i nawet nie rozumieją, jakiego się bluźnierstwa dopuszczają. Przeczekał, aż wyjdzie służąca, która rozosiła herbatę, i zaczął rozwodzić się nad Synajem i porównywać go z drogą Kalwarii. Synaj był dlań symbolem najszybszych myśli i uczuć ludzkich, szczytem najwyższym, na który wspina się przez wieki cała ludzkość oświecona, a na którym Żydzi stanęli już w zaraniu swych dziejów.

Judaizm i Polskość. Judaizm jest wyższy ponad wszystkie wierzenia, ponad wszystkie prawdy, którym ludzkość holduje, a Naród Polski, Naród-męczennik wyższy jest ponad wszystkie narody. I zdawało się nam, iż Judaizm stał się w umysłowości Nusbauma z Polskością w jedną nierozdzielalną całość. Bodaj, że zmartwychwstanie Narodu Polskiego doprowadzić musi do zwycięstwa Judaizmu. Tak nam się zdawać mogło... Ale w walce słownej nie znaleźliśmy parono, nie mieliśmy rozumienia dla podobnej uczuciowości, rozbudzony w nas instynkt wietrzył w tej całej misternej budowie jakiś fałsz, jakieś samooszukiwanie. Gniewała nas ta metafizyka, która maskowała gotowość do poświęcenia własnej godności, służalność, posunięta do granic ostatecznych, przypominająca niewolniczość Tatarów, wieszających się na pierwszym drzewie dla wywołania uśmiechu na rozgniewanym obliczu chańskim.

Nie szczędziliśmy Zmarłego. Nie hamowaliśmy naszego temperamentu, nie przebieraliśmy w słowach. Każde jego słowo poniżało nas, jakby tarzało duszę naszą w bagnisku wiecznego niewolnictwa. Każde nasze słowo było dla niego czymś potwornym, raniło go, obrażało najświętsze jego uczucia. Przepaść nas dzieliła. Na nic się tu zdać mogła walka słów, przekonania. Tu nie było miejsca dla wzajemnego przekonywania się. Toteż pewnego wieczora oświadczył Nusbaum, iż nie może brać udziału w zebraniach, w których tolerowani będą ludzie tacy, jak my młodzi, i poszedł. Więcej do nas nie wrócił.

Nie opuścił jednak pola walki, nie rzu-

cił ciemnych mas żydowskich nam na pastwę. Wziął udział kierowniczy w towarzysztwie oświatowym „Daath - Wiedza”, posunął się tak daleko, iż zaczął wydawać dziennik żargonowy. Nie żydowski, o nie, lecz właśnie żargonowy. W tym określeniu tkwiła cała pogarda zasymilowanego Żyda, dążącego do samouniżenia, do języka owych ciemnych mas, które należało pozyskać dla Polskości. Pismo miało tę pogardę zaszczytów masom, pismo w ich języku miało uczyć, iż należy gardzić tym językiem, a zarazem wszystkim, co w nim tworzone, życiem, którego jest odbiciem i wyrazem.

Nie zwalczyliśmy już wówczas Nusbauma, jego hasła i idei. Masy szły za nami lub za żydowskimi socjalistami, nie oglądając się nań. Coraz bardziej odchodził od życia żydowskiego, które go już nawet nie odręczało, lecz prosto przechodziło nad nim do porządku dziennego, nie dostrzegając go.

A w społeczeństwie polskim? Był unikatem, pozostałością z jakiejś epoki pierwotnej. Był członkiem Narodowej Demokracji. Godził się na proponowane przez nią w Dumie Rosyjskiej ograniczenia praw Żydów w planowanym samorządzie. Dla dobra Polski i Polskości. Nie protestował przeciw hecy narodowo-demokratycznej podczas wyborów do 4-tej Dumy, przeciw głoszeniu przez nią hasła bojkotu. Usprawiedliwiał wszystkie jej pozycyny wobec Żydów. Nie znajdował w swym sercu ani jednego słowa potępienia. Jak najbardziej oddany endeck.

Endek Żyd! Ile w zestawieniu tych dwóch wyrazów mieści się tragizm! Tego jeszcze nikt zgłębić nie potrafił. I kto wie, czy kiedykolwiek potrafi.

Nusbaum pozostał wierny swym ideom, swym wierzeniom i hasłom, które doprowadziły go i wprowadziły do Endecji. Nie zachwiał się nawet pierwsze straszne lata wojny, kiedy to endecka agitacja wydawała z całą świadomością i perfidią na łup żołdactwa rosyjskiego Żydów po miastach i miasteczkach, oskarżając ich o zdradę Rosji. A gdy wojna skończyła się i Polska odzyskała Niepodległość państwową, Nusbaum nie znalazł dla siebie miejsca więcej wśród Żydów. Polska zwyciężyła, Polska zmartwychwstała. Naród Polski zrzucił z siebie jarzmo niewoli, stał się Panem swej ziemi, swych losów. Jedną część ideału sięciła się. A druga, a Judaizm? Owa góra Synaj, zbezczeszczone przez syjonizm?

Judaizm okazał się niepotrzebny. Przeszkadzał w dokonaniu samopalenia: Za czasów niewoli trzeba było, może, nieść sztandar polskości wśród mas żydowskich. Po wyzwoleniu sztandar ujęły ręce bardziej krępkie, bardziej powołane. Można było odejść. I Nusbaum odszedł. Jak to przewidzieliśmy, gdyśmy z nim pierwsze boje stacjali. Odszedł, aby nie wrócić więcej. Nawet na cmentarz żydowski, na którym pochowane zostały prochy jego przodków, jego ojca, pierwszego historyka żydowskiego w języku polskim.

Sokołowa napisał jednoaktówkę na temat asymilacji żydowskiej w Polsce. Przedstawił w niej starego lekarza Żyda, który bił się za Polskę w legionach Dąbrowskiego, a następnie w powstaniach narodowych, a którego dzieci wychrzęciły wszystkie. Czując zbliżającą się śmierć, opanowany strachem, iż in articulo mortis opatrzone zostanie świętymi sakramentami i nie zostanie pochowany na cmentarzu żydowskim, posłał po swojego przyjaciela - Żyda i poleca mu obronę swych zwłok przed rodziną chrześcijańską, która wstydzi się będzie żydowskiego pogrzebu, żydowskiego cmentarza, żydowskiego ojca, dziadka i teścia, pochowanego na cmentarzu żydowskim.

Nusbaum nie czekał na ową chwilę, sam dokonał samopalenia, samouniżenia. Odszedł od Judaizmu, jak odszedł od Żydów, sprzeniewierzył się górze Synaj. I nikt nigdy się nie dowi, czy nie opanował go w ostatniej chwili ów strach najstraszniejszy, iż nie odchodzi do ojców swoich...

Dr. M. KLEINBAUM

ŻYDZI - PAŃSTWO - OBÓZ

Trzy są w świecie dzisiejszym główne systemy rządzenia, trzy generalne koncepcje ustrojowe: dyktatura faszystów, dyktatura komunizmu, demokracja parlamentarna. Ostatnie dwie możliwości płk. Adam Koc odrzuca.

— „Komunizm w założeniach swych, celach i metodach, jest tak obcy duchowi polskiemu, że w Polsce nie ma dla niego miejsca.”

— „Konstytucja kwietniowa... ukracając samowolę dawnego sejmowładztwa, zapewnia Państwu silną i sprężystą władzę...”

Natomiast nie wspomina deklaracja o stosunku do faszystów. Pominie tego tematu przy jaskrawym podkreśleniu stosunku do komunizmu i do „sejmowładztwa” nie jest przypadkiem. Bardzo wymowne też się stają ustępy, uzasadniające ideę solidaryzmu społecznego, i apoteozujące „żelazny krok potężnych i dyscyplinowanych szeregów, prowadzonych jedną wolą ku jednemu celowi.”

Te dwie tezy — solidaryzmu społecznego i systemu „jednej woli prowadzącej” — zbliżają przyszły obóz płk. Koca bardziej, niż jakikolwiek inny obóz w dotychczasowym rozwoju Polski, do wzoru obozów rządzących w szeregu innych państw europejskich o ustroju „nowoczesnym,” totalnym.

Stwierdzenie to determinuje nasz stosunek, jako zwolenników demokracji politycznej i społecznej, do założeń programowych nowego obozu. Przeświadczenie nasze, że interes społeczeństwa żydowskiego zbiega się zawsze z interesem demokracji, potwierdza się w całej pełni również i na tym konkretnym, jakże ważkim przykładzie. Stanowisko bowiem płk. Koca w kwestii żydowskiej jest tak niedwuznaczne, że nie wyobrażamy sobie, by mogły być o nim dwa zdania wśród ogółu żydowskiego; że w żaden sposób zrozumienie nie możemy, z jakiego to źródła np. „Nasz Przegląd” (23. 2. 37.) mógł czerpać natchnienie do tak optymistycznej i kwietystycznej oceny. Już stokrój głębiej od tego żydowskiego przecież dziennika pojął ustęp o Żydach „Robotnik”:

— „P. Koc odrzuca — zupełnie słusznie — „pogromy”, bicie Żydów i t. d. Proponuje (o ile dobrze rozumiem deklarację) powrót do koncepcji pp. Dmowskiego i Sadzewicza z r. 1912: Bojkot gospodarzy Żydów. Można i tak. Ale... Piłsudski nie ma tu nic do rzeczy. Oweczesny „bojkot Żydów” był „odtrutką” na... Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych.”

Od siebie dodajmy: „Robotnik” dobrze zrozumiał deklarację, chociażby już dlatego, że fałszywy komentarz lub interpretacja nie ujrzałyby światła dziennego. Z naszej zewnętrznej strony nie może być mowy ani o optymizmie, ani tym bardziej o kwietyzmie.

Pomiędzy jednak wszelkie momenty uczuciowe, emocjonalne, nastrojowe. Zanalizujmy tezy deklaracji czysto rzeczowo. Pułkownik Koc aprobuje „samoobronę kulturalną” — przed Żydami, oraz „samodzielność gospodarczą” — bez Żydów.

Rozumiemy. W odniesieniu do wszystkich mniejszości narodowych najchętniej zastosowano program asymilacyjny, a tylko z konieczności uznaje się ich odrębność, i to tylko w pewnej określonej mierze, natomiast dla Żydów ma się program dysymilacyjny — „samoobronę kulturalną”. Nie naszą rzeczą jest i nie po naszej linii idealowej leży wykazanie, że wartości kulturalne, wznoszone przez Żydów do skarbcia duchowej twórczości polskiej, dodały jej wiele blasku i chwały. Naodwrot — ze świadomości pozytywnych walorów odrębnej kultury żydowskiej, z jej umiłowania, z wiary w jej moc i piękno, wypływa też nasza negacja asymilacji. Ale i tę negację ujmujemy w postaci programu pozytywnego, w postaci postulatu *autonomii narodowo-kulturalnej* dla mniejszości żydowskiej w Polsce. Wprowadzenie tego postulatu w czyn czy-

ni „samoobronę kulturalną” ze strony polskiego społeczeństwa zbudna, a zarazem nie zawiera w sobie nic poniżającego w odniesieniu do Żydów, gdyż nie przypisuje kulturze żydowskiej żadnych takich elementów, przed którymi należałoby się bronić. Autonomia narodowo-kulturalna to nie jest ghetto. Ghetto to odrębność upośledzona, samorząd kulturalny zaś oznacza odrębność równouprawnioną. A więc i na tej płaszczyźnie — zagadnienia kulturalnego — dochodzimy do kryterium rozstrzygającego: za czy przeciw równouprawnieniu Żydów? W dziedzinie kulturalnej do pomyślenia są dwie metody równouprawnienia mniejszości: swobodna asymilacja albo autonomia, — dysymilacja zaś bez praw autonomicznych, sformułowana jako „samoobrona kulturalna”, kłóci się z prawdziwym równouprawnieniem.

Podobnie rzeczy się mają z tezą „samodzielności gospodarczej”. Nie ma chyba ani jednego Żyda w Polsce i w świecie całym, któryby kwestionował prawo narodu polskiego do wytworzenia własnego stanu mieszczańskiego, trudniącego się handlem, rzemiosłem, drobnym przemysłem i t. d. Rozumiemy, że proces ten wywołać może (choć przy wielkich jeszcze możliwościach w Polsce wcale nie musi) współzawodnictwo między żydowskim żywiołem mieszczańskim a polskim. Jaką rolę odegrać winno Państwo w tym procesie? — Zadaniem Państwa jest dbać, by współzawodnictwo ekonomiczne nie przybrało w najmniejszym choćby stopniu charakteru walki politycznej, narodowościowej. A już elementarnym obowiązkiem Państwa jest zachować jak najściślej obiektywizm względem współzawodniczących stron; jest to prosto nieodzowny warunek, wynikający z zasady równości wszystkich obywateli, zawartej przecież także w kwietniowej konstytucji. Tłumić namiętności polityczne, waśni i antagonizmy narodowościowe w konkurencji między Polakiem a Żydem — oto zadanie Państwa, jako naczelnego regulatora współżycia wszystkich jego obywateli. A już nie można chyba odmówić słuszności naszemu stanowisku, że ani starosta, ani naczelnik urzędu skarbowego, nie powinni niczym wpływać na wynik wyścigu między polskim a żydowskim konkurentem. Kto to stanowisko w teorii czy w praktyce neguje, ten narusza zasadę równości obywateli.

Co jest zadaniem i obowiązkiem Państwa: szczerą troską o stan ekonomiczny wszystkich odłamów ludności, czy organizowanie gospodarczego natarcia (tu już o natarcie chodzi, a nie o obronę) bezrolnego i bezrobotnego żywiołu polskiego na nędzne pozycje małomiasteczkowych Żydów? — Na to pytanie nie daje płk. Koc odpowiedzi, któryby uwzględniła postulat obiektywizmu Państwa wobec polsko-żydowskiego zagadnienia gospodarczego. Stwierdzamy rozbieżność zdań już na drugiej płaszczyźnie.

Trzecia płaszczyzna: układ stosunków między narodami, żyjącymi na ziemiach Rzeczypospolitej. Dla Narodu Polskiego Państwo Polskie jest jedyną formą narodowego bytowania. Byłoby to z naszej strony wysoce nierozsądne, gdybyśmy wymowe tej prawdy starali się osłabić. A z prawdy tej wynika bezspornie wyróżnione stanowisko Narodu Polskiego wśród wszystkich ludów Rzplitej. Nie liczebna większość, nie arytmetyczna przewaga rozstrzygają o tej hegemonii, lecz nierozdzielny związek dziejowy między polską narodowością a polską państwowością. Ale naród polski jest w posiadaniu państwa, którego granice są znacznie szersze od obszaru etnicznie jednolitego „czysto polskiego”. W szerokiej tych granicach znalazły się prócz polskiego, jeszcze inne narody — niektóre skupione, niektóre rozproszone. Powstaje pytanie: co leży w interesie Narodu Polskiego — by mniejszości narodowe czuły się wolne i szczęśliwe w Państwie Polskim, łączone z nim mocnymi więziami obywatelskiego przywią-

zania, współodpowiedzialne za jego losy i rozwój, czy też nie? Czy Naród Polski ma z narodów mniejszościowych uczynić współgospodarzy, czy sublokatorów? Nam się wydaje, że dopuszczenie mniejszości do współdecydowania w Państwie i o Państwie leży bardziej jeszcze w interesie Narodu Polskiego, niż w interesie mniejszości samych. Ale wtedy Naród *Polski* wyrzec się musi endeckiej teorii „narodogospodarza” i obrać sobie pozycję „primus inter pares”, — pierwszego, ale wśród równych.

Związanie mniejszości z Państwem, — zadanie to należy przeważnie i w pierwszym rzędzie od grupy rządzącej, ale też i od dobrej woli mniejszości. Nie będziemy teraz mówili o stosunku do Państwa innych mniejszości, które opuściły wspólną z nami platformę, i opuściły nas. Będziemy mówili o sobie. Nie ma żadnych przeszkód, ani przedmiotowych, ani — z naszej strony podmiotowych, by ludność żydowska w Polsce organicznie i trwale związana była z Państwem. Nasza odrębność narodowo-kulturalna nie jest przeszkodą, bo ona nigdy nie była, nie jest i być nie może łączona z jakimikolwiek aspiracjami politycznymi, któreby pozostawały w kolizji z dążnościami i z dobrem Państwa Polskiego. O ile, teoretycznie rzecz biorąc, nie można przewidzieć, po czyjej stronie będą uczucia i sympatie obywatela polskiego narodowości np. litewskiej w wypadku konfliktu polsko-litewskiego, o tyle w stosunku do żydowskich obywateli Polski wątpliwości takiej nie ma, bo podobnej kwestii być nie może. A przecież miliony Żydów zostaną na polskiej ziemi na długie, długie czasy, może na zawsze. Czyż nie leży w interesie Państwa umożliwienie tym milionom rozbudzenia i umocnienia w sobie państwowego patriotyzmu? Czy solidny stosunek obywatelski między żydostwem polskim a Rzplitą zawierać może w sobie jakiegokolwiek dla Niej niebezpieczeństwo? Stosunek taki mimo wszystko z naszej strony zachodzi, a utrwalić na wieki może go — równouprawnienie.

Odpowiedź płk. Koca na zagadnienie narodowościowe w ogóle i na żydowskie w szczególności nie idzie po linii naszego rozumowania. Mało tego. Końcowy ustęp o Żydach w deklaracji podaje w wątpliwość „głębokie poczucie obywatelskie, ofiarnostwo w stosunku do Państwa i bezkompromisowe związanie z Państwem swego życia i mienia” ze strony ludności żydowskiej. Nie miałoby sensu, gdybyśmy się z tego powodu obrażali: jedynym uprawnionym sędzią w takich sprawach jest własne sumienie no i — historia. Niżej naszej godności byłoby zaprzeczenie, zapewnienia, uroczyste oświadczenia. Wystarczy powiedzieć krótko i dobitnie: stwierdzamy, że ocena wartości obywatelskich ludności żydowskiej, zawarta w deklaracji, nie odpowiada rzeczywistości nastawieniu tej ludności. Nie mogliśmy tej oceny przemilczeć, by nie powstało czasem wrażenie jej potwierdzenia.

Ale z oceny płk. Koca wynika jeszcze coś. Skoro jest tak złego mniemania o wartości obywatelskiej ludności żydowskiej, to chyba tych rzekomo tak mało ofiarnych obywateli w swoim obozie widzieć nie pragnie. Z drugiej strony nie może do obozu przystąpić ten odłam obywateli, którzy przez twórcę obozu przedstawiony został w tak ujemnym świetle. Pułk. Adam Koc na Żydw nie liczy et vice versa.

Cóż nam tedy pozostaje? — Pozostaje nam walka już nie tylko o prawa równe, lecz także o uznanie naszych równych obowiązków, naszej równej współodpowiedzialności za Państwo — o uznanie stosunku obywatelskiego, zachodzącego między polskim Żydem a Rzplitą. Mamy zaś w tej walce wielkiego sprzymierzeńca — prawdziwą polską rację stanu.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Oleandry a ulica Matejki

O krakowskich Oleandrach, z których wyruszył pamiętnego 6 sierpnia 1914 r. pierwszy oddział legionistów, by „w imieniu demokratyczno - ludowej Republiki Polskiej” wziąć udział w oswabdzaniu ziem zaboru rosyjskiego — wie każdy w Polsce. Dziś powszechnie wiadomo, że na ul. Matejki mieści się w Warszawie centrala nowego obozu.

Dziś „Oleandry”, to nazwa organu krakowskiego oddziału Związku Legionistów. Dowiadujemy się, z niego, że krakowscy legionści odbyli aż 23 wieczory dyskusyjne, poświęcone tematowi polityczno - społecznym sytuacji Polski (widocznie nie tylko w „klubie dyskusyjnym” na ul. Wiejskiej odbywają się takie dyskusje). Rezultatem tych wieczorów jest uchwalenie **tez politycznych**, które ogłasza się właśnie w „Oleandrach” (widocznie nie tylko w Warszawie formułuje się takie tezy...).

Podstawowa teza, poświęcona polityce wewnętrznej, brzmi: „**Należy powrócić do wielkich, nigdy nie przestarzałych zasad demokratycznych, których pierwszym wyrazem musiały być Sejm, wyłoniony na podstawie ordynacji wyborczej, zmienionej w sensie tych demokratycznych zasad.**”

Rezolucja znamienna... Przecież legionści krakowscy to oddział Związku Legionistów, którego Komendantem Głównym jest p. płk. Koc.

Sprawy personalne

Do licznych zalet systemów t. zw. „autorytatywnych” należy także niechęć do jasnego i jawnego formułowania istotnych założeń polityki wewnętrznej. Obywatel więc musi orientować według polityki personalnej rzędu. Notujemy dwie sprawy personalne ostatnich dni, ograniczając się do podania samych faktów.

Sprawa Nr. 1: **Norbort Barlicki**, wybrany prezydentem m. Łodzi, nie został zatwierdzony przez ministra spraw wewnętrznych. Wola wyborów łódzkich była jasna i niedwuznaczna: 120.000 głosów padło na P.P.S. i inne grupy socjalistyczne, których kandydatem był N. Barlicki. Wola łódzkiej Rady Miejskiej była jeszcze bardziej jasna: na kandydaturę Barlickiego padły 44 głosy z grona 70 głosujących radnych (były to głosy nie tylko ściślejszych wyborców Barlickiego — socjalistów ale przedstawicieli wszystkich ugrupowań z wyjątkiem endo-hitlerki).

Jasne są także sprawy, związane z osobą Prezydenta Łodzi, z jego zasługami dla państwa i kwalifikacjami osobistymi. Barlicki, b. minister pracy i opieki społecznej oraz wice-minister spraw wewnętrznych, a do r. 1935 poseł do wszystkich sejmów Rzeczypospolitej — ma chyba dostatecznie kwalifikacje moralne, obywatelskie i rzeczowe.

Znane są też dotychczasowe fakty, ilustrujące metodę postępowania departamentu samorządowego w podobnych sytuacjach: w Radomiu i w innych miejscowościach pepesowskie zarządy miejskie i burmistrzowie byli dotąd zatwierdzani.

A więc inowacja.
Sprawa Nr. 2: z dniem 18 lutego p. Al. Haftka, referent spraw żydowskich w wydziale narodowościowym M. S. Wewn. został zwolniony z zajmowanego stanowiska i z służby państwowej w ogóle. Wydział narodowościowy utworzono wnet po przewrocie majowym; miał on być organem nowej polityki w stosunku do mniejszości narodowych. P. Aleksander Haftka był przez cały ten czas rzecznikiem i szermierzem zasady związania społeczeństwa żydowskiego z obozem rządowym.

W bieżącym miesiącu został zwolniony ze służby.

Nie chcą się uczyć

Attache prasowy poselstwa jugosłowiańskiego, p. Marosz, wygłosił referat w łódzkiej Syndykacie Dziennikarzy n. t. ewolucji politycznej w Jugosławii.

Jak wiadomo w państwie tym przez kilka lat rządziła dyktatura militarne, czynnik rządzący szybko się jednak przekonał, że najbardziej odpowiednim systemem dla tego mieszanego pod względem narodowościowym, państwa — jest demokracja parlamentarna. Już prawie od dwóch lat można w polityce jugosłowiańskiej zaobserwować ewolucyjny nawrót do demokracji.

Pan Marosz omówił w swym referacie politykę obecnego rządu **Stojadinowicza**, którą scharakteryzować można w następujących punktach zasadniczych: 1) Likwidacja ustroju autorytatywnego i stopniowe przywracanie ustroju demokratycznego 2) Pertrakcje polityczne z **Maczkiem**, opozycyjnym przywódcą chorwackim. 3) Dążenie do poprawy sytuacji gospodarczej.

4) W polityce zagranicznej: utrzymywanie najściślejszego sojuszu z Francją oraz z państwami Małej i Bałkańskiej ententy.

Narzucające się analogie polityczne nie raz dyktowały rzecznikom opozycji w Polsce powoływanie się na Jugosławie. Pamiętamy, że w ostatnich dniach poprzedniego Sejmu jeden z wybitnych posłów opozycyjnych zakończył swe przemówienie apelem, skierowanym w stronę ław B. B. „**Uczcie się po jugosłowiańsku!**”

Od tego apelu mijają już dwa lata — a nie wiele się nauczono. **Nie chcą się uczyć!**

Potrójna racja

Dr. Sommerstein, który jest posem do tego obecnego sejmu udzielił ostatnio wywiadu prasowego na temat spraw „parlamentarnych”.

Na pytanie dziennikarza żydowskiego, jak posłowie — Żydzi będą głosowali przy uchwalaniu budżetu? — dr. Sommerstein odpowiedział:

— Dziwi mnie, że Pan w ogóle stawia mi takie pytanie. Czy możemy inaczej postąpić, jak głosować **przeciwko** budżetowi?

Syjonizm galicyjski

Syjonizm galicyjski stał się u nas nieśluszną synonimem żydowskiej polityki ugodowej. Kto bowiem pamięta czasy Adolfa Standa, Gerszona Zippera i w ogóle epokę zmagania syjonistów galicyjskich o prawa narodowe Żydów w b. Galicji, ten musi dojść do całkiem innego wniosku. Należy nadmienić, że przed wojną na terenie Galicji prawa polityczne były Żydom zagwarantowane na równie z całą ludnością. Żydzi korzystali z pełnego równouprawnienia obywatelskiego, mieli otwarty dostęp do szkół, bo „numerus clausus” na wyższych uczelniach był tu nieznanym, podobnie jak i problem „ławkowy”. Zyletki i kastety nie były jeszcze środkami rozwiązania kwestii żyd. Żydzi byli też bez ograniczeń przyjmowani do urzędów, tak w administracji, jak i w sądownictwie, na poczcie, kolei, a zajmowali również wyższe stanowiska w armii.

To pełne równouprawnienie Żydów było silnym bodźcem do asymilacji, zwłaszcza, że w monarchii austriackiej Żydów nie uznawano jako odrębną narodowość, lecz tylko jako odrębne wyznaczenie wśród ludów monarchii. Byli więc Niemcami, Madziarami, Czechami i t. d. wyznania mojżeszowego. W Galicji zaś Żydzi zostali oficjalnie uznani za Polaków wyznania mojżeszowego. Kto n. p. podczas spisu ludności podawał swą przynależność do narodowości żyd., ten został administracyjnie ukarany grzywną, lub więzieniem.

Nieuznanie narodowości żyd. w monarchii austriackiej odebrało w konsekwencji Żydom wszelkie prawa narodowe i kulturalne, z których korzystały inne narodowości. Toteż walka polityczna obozu narodowo-żydowskiego i syjonistycznego skierowana była w pierwszym rzędzie przeciw asymilatorom, którzy zrzekli się praw narodowych dla Żydów i zwalczali postulaty narodowo-żydowskie syjonistów galicyjskich. Wobec tego, że narzędziem magnatów asymilacyjnych w Galicji były kahały i „dwory” cadyków, syjonści wypowiedzieli też wojnę kahalno-propinatorskim „moszkom” i „prowodyrom „dworskim” cudotwórców.

Właśnie upływa obecnie 30 lat, gdy syjonizm galicyjski po raz pierwszy wstąpił na arenę polityki krajowej i odniósł walne zwycięstwo nad asymilacją i korupcją na ulicy żydowskiej, wprowadzając do parlamentu wiedeńskiego trzech posłów syjonistycznych z Galicji, którzy razem z posem narodowo-żydowskim na Bukowinie utworzyli pierwszy w historii żydowski klub parlamentarny. W r. 1907 Żydzi w Galicji po raz pierwszy szli pod wodzą syjonistów do demokratycznych wyborów parlamentarnych, jak wolni obywatele. Nie ulegli ani naporowi i terrorowi galicyjsko-austriackich starostów i c. k. żandarmerii, ani korupcji magnaterii asymilatorskiej, ani też denuncjom „moszków” kahalno-propinatorskich i naganom chasydów.

Po raz pierwszy w walce politycznej stanął wtedy ramię przy ramieniu Żyd z Ukraińcem, którzy wprowadzili faktycznie tworzyli razem większość, formalnie jednak byli mniejszością w kraju. Bawem Polacy wzięli Żydów, jako należących do narodowości polskiej, na swój rachunek, by w ten sposób stworzyć większość polską. Oczywiście, gdy murzyn zrobił swoje, może już odejść...

Żydowska polityka narodowa wychodziła zaraz w swoich początkach z założeń

— A jak postąpi tym razem pos. Minzberg, który nie jest członkiem Koła Żydowskiego?

— Tego nie mogę Panu powiedzieć. Mam jednak wrażenie, że robi on to, co zawsze — nie będzie go w sejmie podczas głosowania. Wedle moich informacji, pan Minzberg już wziął u marszałka sejmu jakiś tam urlop i wyjechał z Warszawy. Jego intencje w tym wypadku są nie dwuznaczne.

Swoją wywiad dr. Sommerstein kończy słowami: „**Moim zdaniem nie ma żadnego znaczenia wygłaszanie opozycyjnych mów, jeśli się w końcu nie wyciąga z nich należytych konsekwencji.**”

Złote słowa, Panie Posle! Dr. Sommerstein chyba sam nie wie, jak bardzo tym razem miał rację. Stwierdzenie, które poczynił w końcu wywiadu, charakteryzuje dosadnie nieuczciwość, niekonsekwencję i bezwartościowość rozmaitych panów Minzbergów — ale nie na tym koniec. To przecie nie kto inny, jak właśnie małopolski posłowie żydowski, (a w ich gronie także dr. Sommerstein!) w latach 1928 — 1935 podnieśli do godności systemu taktykę wygłaszania opozycyjnych mów, po których wstrzymywali się od głosowania lub uciekali chyłkiem z sali obrad, — taktykę, któ-

ra teraz tak dosadnie dr. Sommerstein scharakteryzował.

Ale i na tym nie koniec. W obecnym sejmie, w którym nie ma prawdziwej opozycji, nawet głosowanie **przeciw** budżetowi nie jest jeszcze „wyciąganiem należytej konsekwencji z opozycyjnych mów”. Teraz, to są wszystko kłótnie w rodzinie rządzącego obozu, a nie kto inny, jak właśnie p. Prystorowa obdarzyła swego czasu posła Sommersteina miłym komplementem: „**Pana uważałam za członka naszego obozu.**” Jeśli więc dr. Sommerstein pragnie istotnie wyciągnąć konsekwencje ze swych opozycyjnych mów, to w obecnych warunkach może to należycie uczynić tylko przez zaprzestanie wygłaszania mów na Wiejskiej, przez opuszczenie instytucji w ogóle.

Uchylając się zaś od tej konsekwencji Pan Poseł upoważnia do skierowania jego własnych oskarżeń wobec niego samego. Pan Poseł ma zatem potrójnie rację: raz w stosunku do p. Minzberga, drugi raz w stosunku do przeszłości swojej i swoich politycznych przyjaciół, trzeci raz wreszcie w stosunku do siebie samego w **teraźniejszości.**

wala żydowska polityka ugodowa syjonistów galicyjskich. W Galicji podnosiły głowę t. zw. koła gospodarcze, używane do walki ze syjonistami w kahałach i w wewnętrznych żyd. Kola te obsadziły i opanowały organizacje kupieckie i rzemieślnicze, które w bardzo krótkim czasie przez nich zostały zniszczone.

Wytworzyła się sytuacja, że na terenie Warszawy, u władz centralnych, syjonści galicyjscy byli „porządny Żydami”. Na terenie zaś lokalnym, galicyjskim, w województwach i starostwach, wieszano psy na syjonistów, oddając władzę nad ludnością żyd. w ręce ludzi bez zasług i bez kwalifikacji, strojących się w piórka B. B. Z.

Stąd też stanowisko prorządowe syjonistów galicyjskich w sejmie, a opozycja ich w kahałach, radach gminnych i w ogóle na terenie lokalnym. Mimo to syjonści w Galicji zbrodniczyli się z kolami gospodarczymi do rad miejskich, zaś w kahałach wzajemnie się zwalczały. Odnosiło się często wrażenie, że łatwiej syjonistom galicyjskim kooperować z asymilatorami, aniżeli z innymi grupami syjonistycznymi w kraju, nie mówiąc już o kooperacji ze syjonistami b. Kongresówki. Doprowadziło to do tego, że zatarły się całkowicie różnice między polityką syjo-

EKONOMIKA

Rozbudowa gospodarcza Stanów Zjednoczonych

Gdyby prezydent Roosevelt mógł bez przeszkód „konstytucyjnych” realizować swój program rozbudowy kraju, nie byłaby obecnie akcja urzędu w Okio i dolinie Missisipi ograniczona do zwalczania powodzi i udzielania pomocy jej ofiarom.

W jednym z ostatnich swych orędzi do Kongresu domagał się prezydent autoryzacji serii robót publicznych, w której między innymi uwzględnione były wielkie roboty, mające na celu zabezpieczenie kraju na przyszłość przed żywiołowymi katastrofami. Prace te trwać miały około 6 lat, a potrzebne fundusze wyniosłyby 3 miliardy łp. Program ten składa się z dwóch części: pierwsza, której preliminowane koszty wynoszą ponad 1,5 miliarda łp. i do której należałoby zabrać się niezwłocznie; druga część, mniej pilna, ma być traktowana jako pomoc dla przemysłu i jako próba zredukowania bezrobocia.

W intencji prezydenta obydwie części

Elektryfikacja Palestyny

Daje się zauważyć duży wzrost zapotrzebowania prądu we wszystkich dziedzinach gospodarstwa palestyńskiego.

W pierwszych siedmiu miesiącach ubiegłego roku wzrosło zużycie prądu o ok. 34% wobec tegoż okresu roku poprzedniego. Szczególnie silnie uwidatnia się wzrost zapotrzebowania prądu dla celów nawodnienia (ok. 38%), co świadczy z kolei o ekspansji intensywnej gospodarki rolnej w kraju.

W przyszłym wzrosło zapotrzebowanie prądu o ok. 32%. Niektóre z gałęzi przemysłu rozwinęły się ęta, pomyślnie, że eksport ich wytworów mógł się niezależnie od zbytu na rynku wewnętrznym, swobodnie rozwijać.

Tak np. wzrósł trzykrotnie eksport naszego przemysłu czekoladowego; to samo dotyczy

Gwizdanie zastugą?

Od trzech lat istnieje w faszystowskich Włoszech nagroda literacka „Caverra”, którą corocznie przyznaje się za najlepsze dzieło dziennikarza włoskiego lub za „czyn, przynoszący chlubę zawodowi dziennikarskiemu”. Tego roku nagrodę przyznano nie za dzieło, ale właśnie za „czyn, przynoszący chlubę”: 2500 lir wypłacono grupie dziennikarzy, którzy na pamiętnym posiedzeniu Ligi Narodów próbowali po łobuzersku gwizdać, gdy na trybunie ukazał się władca Abisynii, pozbawiony ziemi, a szukający sprawiedliwości w Areopagu narodów.

Włochy faszystowskie znajdowały się z Abisynią na stopie wojennej — to prawda. Ale Włochom faszystowskim udało się przemocą pokonać Abisynię i jej władcę. Wobec pokonanego przeciwnika ma podobno obowiązywać rycerskość — a faszystom chętnie gędzi w wskrzeszeniu rycerskich tradycji. Ze tych panów wynagrodzono sownie — to ich sprawą i szczęście (nie poszliby chyba gwizdać, gdyby nie liczyli na napiwek). Ale kwalifikować łobuzerskie wybrki jako „czyn przynoszący chlubę zawodowi dziennikarskiemu”? Wstyd!

nistyczną a antysyjonistyczną, czyli że polityka syjonistyczna w Galicji przestała istnieć i miejsce jej zajął B. B. Z.

W ostatnich miesiącach istnienia poprzedniego sejmu b. p. Dr. Thon, jedyny z syjonistycznych posłów galicyjskich, podniósł wysoko sztandar syjonizmu galicyjskiego, przypominając przez dawne czasy. Dr. Thon należał też później do tych, którzy głosili abstynencję przy „wyborach” w r. 1935 i w tym względzie szedł po linii kierownictwa syjonistów z Kongresówki. Inni natomiast trzymali się kuczowo „kontaktu”. Po wyborach w r. 1935, nie wchodząc do sejmu, także dr. Rosmarin zaczął atakować Koło żyd. i jego nominatów. Obecnie syjonistyczna konferencja krajowa we Lwowie uchwaliła „ostre kursy” w polityce krajowej.

Nie uchwalono natomiast konsekwencji tego kursu. Najbliższe tygodnie pokażą, w czym nastąpiła zmiana, czy syjonści galicyjscy nauczyli się czegoś po wydarzeniach ostatnich czasów i czy nastąpi powrót do prawdziwego syjonizmu galicyjskiego, który był awangardą narodowej polityki żydowskiej w walce o prawa polityczne i narodowe dla Żydów.

Lwów, w lutym.

HALICZANIN.

programu powinny być traktowane wspólnie, jak jeden „long range plan” w celu złączenia kwestii „boom” (tratwy) i „slump” (kryzysu).

Łącznie z tymi projektami omawiane były w orędziu inne również ważne zagadnienia, jak np. sprawa ciągle powracającej posuchy. Chociaż spustoszenie, dokonane przez wylewy dwóch potężnych rzek amerykańskich jest ogromna, to jednak znacznie większą groźbą dla przyszłości kraju stanowi zniszczenie przez posuchę milionów ton zbiorów na przestrzeni ogromnych połaci kraju.

Dwa lata przedstawiano plan „zabezpieczenia i rozwoju dóbr narodowych”. Program ten obejmował okres 20—30 lat. Projekt przechowywano przez dłuższy czas pod sukrem, obecnie ujrział światło dzienne i zebrany w nim materiał służyć będzie za podstawę do „long range plan” Roosevelta.

eksportu artykułów żelaznych i metalowych; eksport nici bawełnianych, podjęty w ub. roku, wykazuje się sumą ok. 10000 łp. tak samo rozwinął się zbył zagranicę towarów jedwabnych i artykułów konfekcyjnych.

Eksport potasu i bromu w pierwszych 3 kwartałach r.ub. dzięki wyższym cenom na rynku światowym, wzrósł o 30% w stosunku do roku 1935; również eksport różnych esencji, jak i soków owocowych oraz marmelad podwoił się na skutek wzmożonego popytu.

Browar w Riszon le Cion zwiększa dwukrotnie swą obecną produkcję.

Oto kilka pocieszających przykładów rozwoju naszego przemysłu palestyńskiego i postępu jego eksportowych możliwości.

Leopold Halpern

Na XII Zjazd Syjonistyczny

W rozwoju stronnictwa, które idzie naprzód wraz z życiem, zjazdy krajowe nie są tylko formalną koniecznością statutową, poświęconą składaniu sprawozdań przez ustępującą władzę, ich krytykowaniu oraz wybieraniu nowych władz... Żywe stronnictwo kroczy naprzód, droga jego jest podzielona na etapy, a zjazdy krajowe wznoszą się pomiędzy nimi, jak słupy graniczne.

Od stycznia 1930 r., gdy na IX Zjeździe długotrwała walka wewnętrzna zakończyła się objęciem kierownictwa Organizacji przez Grünbauma oraz zwycięstwem jego demokratyczno-progresywnej koncepcji syjonizmu i opozycyjno-radikalnej taktyki w polityce krajowej — przeżyliśmy długą drogę. Jej etapami są trzy kolejne zjazdy krajowe, które odbyły się na przestrzeni tych siedmiu lat.

Zjazd IX (1930) — to objęcie Centralnego Komitetu przez ugrupowanie radykalno-demokratyczne, liczebny wzrost partii, opowiedzenie się Organizacji za walką w obronie parlamentaryzmu, prowadzona przez polską opozycję demokratyczną przeciw „sanacji”. X Zjazd — to objęcie kierownictwa do współpracy najbardziej wartościowych elementów z d. frakcji „Et Liwnot” na zasadach wspólnej demokratyczno-konstruktywnej platformy syjonistycznej, to opowiedzenie się za obozem postępu i pracy w syjonizmie i konsekwentna walka z faszyzmem rewizjonistycznym, to ponowne zaakcentowanie opozycyjnej taktyki posła Grünbauma wbrew oportunistycznej większości ówczesnego Kola Żydowskiego. XI Zjazd wreszcie — zakończył proces konsolidacji wewnętrznej Organizacji, która z federacji odrębnych frakcji przekształciła się w jednolite ideowo-stronnictwo i zapoczątkował proces konsolidacji elementów demokratycznych w syjonizmie — w skali światowej. W dziedzinie polityki krajowej zjazd ten odbył się w okresie, gdy ofenzywa „sanacji” osiągała swój punkt kulminacyjny, wypowiedział swe stanowcze „nie” na podporządkowanie się w jakiegokolwiek postaci chwilowym zwycięzcom oraz tworzonej przez nich rzeczywistości politycznej.

Symbolem jakiegóż etapu będzie więc zbierający się w Warszawie w niedziele dnia 28 lutego 1937 r. XII Zjazd Syjonistyczny?

Sprawozdanie z półtrzęcia lat działalności, które Centralny Komitet przedłożył zjazdowi Krajowemu będzie już zawierało odpowiedź na postawione wyżej pytanie. Obecnie ono, oczywiście, całokształt działalności Organizacji na wszystkich liniach i różnorodnych odcinkach życia żydowskiego i ogólnego, ale na plan pierwszy wysuną się cztery podstawowe kroki polityczne, z których dwa pierwsze dotyczą spraw syjonistycznych, dwa ostatnie zaś polityki krajowej w Polsce. Oto są one: 1) *Inicjatywa i czynna współpraca nad utworzeniem Światowego Zjednoczenia Ogólnych Syjonistów*, zrzeszającego wszystkie postępowo-demokratyczne elementy światowego ruchu syjonistycznego. 2) *Zamiejscowienie Komitetu Koordynacyjnego stronnictwa syjonistycznego w Polsce*, który w ciężkich dniach rozruchów palestyńskich w 1936 r. przeprowadził akcję polityczną i finansową żydostwa polskiego. 3) *Bojkot „wyborów” sejmowych z 1935 r.*, przeprowadzonych na podstawie sławkowskiej ordynacji wyborczej. 4) *Inicjatywa w kierunku przejścia od dotychczasowej orientacji ideowej na demokrację do czynnej o nią walki oraz wciągnięcie do tej współpracy jak najszerszych kół społeczeństwa żydowskiego.*

Te cztery zasadnicze kroki kierownictwa Organizacji Syjonistycznej symbolizują najbardziej istotny etap, który przeżyliśmy ostatnio, założenia ideowe, które nam kierowały oraz perspektywy i zadania, w obszarze których zbierze się XII Zjazd Krajowy.

Organizacja Syjonistyczna w Polsce oraz kierunek ideowy, który w niej dominował, a w ostatnich latach stał się powszechny — stoi niezłomnie na gruncie polimowania syjonizmu, jako masowego ruchu ludowego, opartego na zasadach szerokiej demokracji i dążącego do narodowego oraz socjalnego odrodzenia narodu żydowskiego w Palestynie i w krajach rozprószenia.

Uznawaliśmy i uznajemy dominujące znaczenie *czynnika pracy i przebudowy społecznej* w obecnej fazie realizacji syjonizmu i dlatego współpracujemy z naszym obozem robotniczym, nie tylko jako demokraci i postępowcy, ale przede wszystkim, jako *syjonisci*. Jesteśmy ogólnymi syjonistami, ale nigdy nie zgodzimy się na identyfikowanie ogólnego syjonizmu z klasowym ruchem mieszczańskim, którego jedyną racją bytu jest małostkowe i zawistne kopanie dółków pod robotnikiem żydowskim.

Jesteśmy głęboko przekonani, że tylko prawdziwie narodowe nastawienie, które mu wraz z przynajmniej większością ogólnych syjonistów we wszystkich krajach holdujemy — może zasłużyć na miano *ogólnego syjonizmu*. Dlatego chcemy, aby nastawienie większości ogólnych syjonistów stało się z biegiem czasu nastawieniem *realistycznym* ogólnych syjonistów, wie-

my zaś, że ewolucja ideowa ostatnich czasów zmierza nieustannie w tym właśnie kierunku.

Różne lokalne „pucze” i dywersje dogmatyków ideologii mieszczańsko-klasowej mogą się tylko źle przysłużyć ideji konsolidacji prawdziwego ogólnego syjonizmu. W obecnej zaś sytuacji naszego ruchu rozdmuchiwanie w sztuczny sposób wewnętrznych antagonizmów — jest wręcz szkodliwe.

Na tę drogę XII Zjazd nie pójdzie.

Albowiem w dziedzinie spraw czysto syjonistycznych czy Zjazdu zwrócone będą ku Palestynie, a jego uwaga skoncentrowana wokół walki, która o jej charakter i przyszłość się toczy.

Walka ta wkracza obecnie w decydującą fazę. Komisja Królewska zakończyła już jerozolimskie i londyńskie badania oraz wysłuchiwanie zeznań stron. Rozpoczyna się praca nad sprawozdaniem i zaleceniami dla rządu odnośnie do kierunku dalszej polityki w Palestynie.

W ubiegłym tygodniu Ministerstwo W. R. i O. P. zaleciło niedawno wydaną książkę p. marszałka, jako lekturę dla młodzieży szkolnej. Bardziej niż dla młodzieży wskazane jest poznanie myśli i wskazań Marszałka przez społeczeństwo dojrzałe.

W podtytułe tej książki czytamy: *Rozkazy, artykuły, mowy*. Ta zewnętrzna okoliczność budzi w nas asocjacje z tytułem zbiorowego wydania dzieł ś. p. marszałka Piłsudskiego, który brzmiał wielce podobnie: *Pisma, mowy, rozkazy*.

Pplk. Umiasłowski, który książkę przygotował do druku, czyni we wstępnych uwagach taką aluzję historyczną: „Znakomity Kasander, który rządził w Macedonii po śmierci Aleksandra Wielkiego, nie mógł przejść bez drżenia obok jego posągu” Nie bez wewnętrznej drżenia zapewne też przechodził koło biustu Józefa Piłsudskiego — wystawionego na dziedzińcu zamkowym owego pamiętnego 10 listopada — Edward Smigły-Rydz, dzierżąc w ręku powierzoną mu buławę marszałkowską.

Albowiem z każdej niemal strony książka obecnego marszałka bije niepomahowaną wprost miłość i wierność do Pierwszego Marszałka oraz bezgraniczną wiarę w jego wskazania. Mylnie wszakże byłoby mniemanie, że uczucia te i przekonania są wyrażane w postaci szumnych deklaracji. Wprost przeciwnie. Opowiadając o zdarzeniach i sytuacjach w słowach prostych, Autor raczej sam naprowadza nas na ten wniosek. Tak n. p. czytamy o sytuacji, która wytworzyła się po osadzeniu Piłsudskiego w Magdeburgu: „Powstała pustka. Nikt z nas nie miał myśli Komendanta o najbliższych następnych posunięciach. Nikt z nas nie był na tyle wtajemniczony w szczegóły jego pracy politycznej, aby móc cokolwiek z tej pracy objąć i kontynuować...” Albo o nastrojach społeczeństwa w chwili odzyskania niepodległości: „Mówmy prawdę. Entuzjazmu nie było. Były ambicje władzy i walka o nią pewnych grup, było poszukiwanie posad, poza tym był niedostatek, zmęczenie długą wojną, bierność... Pytałem się nie raz sam siebie, czy Polska bez Piłsudskiego wybrnęłaby z tych straszliwych trudności? Na Boga nie!”

Marsz. Smigły-Rydz jest też bezgranicznie wierny mocarstwowym tendencjom Piłsudskiego. Niezmiernie jaszkrawie przedstawia się mu różnica dwóch celów: *„być wolnym narodem i być wielkim wolnym narodem, być państwem i być wielkim państwem”*. Toteż w stopniu silniejszym może, niż ktokolwiek inny z pośród podkomendnych Naczelnego Wodza, ówczesny generał Smigły-Rydz zdawał sobie sprawę z dziejowego znaczenia koncepcji federalistycznej, jako środka ekspansji mocarstwowej na wschód. Nie było też zapewne przypadkiem, że w wyprawie kijowskiej 1920 r. gen. Smigły-Rydz odegrał zasadniczą rolę.

O czasach tych czytamy w książce marszałka: „W zachowaniu się Anglików i przedstawicieli Ameryki wyraźne było, że w marszu od Zwiąhła do Kijowa Polacy z małego narodu stali się narodem wielkim”. Najsilniej jednak i najpiękniej pod względem formy wypowiadają tę myśl poniższe słowa: „Gdy w pierwszą noc po zajęciu Kijowa stał na Askoldowej Mogiła, po której z sykim uderzył nieprzyjacielskie pociski, lecały z dołu ze wschodniego brzegu Dniepru, gdy tam czekałem na wynik boju, toczącego się o ten wschodni brzeg, wstrząsnął mną dreszcz, wywołany nie sykiem kul, ale świadomością spełniania się wielkich

* *Marszałek Edward Smigły-Rydz: Byćcie o sile nie zapomniał. Rozk., artykuły, mowy. 1904—1936. Do druku przygotował Roman Umiasłowski, podpułkownik dyplomowany. Książnica — Atlas. Lwów — Warszawa. 1936. Str. 308.*

Egzekutywa Agencji Żydowskiej stała i stoi na straży najważniejszych interesów syjonizmu, które obecnie się decydują. Ale stanowisko jej, jeśli ma być należycie uwzględnione i wywrzeć wpływ na kształtowanie się decyzji Mandatarisza, musi być czynnie poparte przez wielkie



skupienia żydowskie diaspory. Głos tych skupień, zwłaszcza gdy chodzi o kraje Europy Wsch., będzie miał ogromne znaczenie dla powodzenia akcji politycznej.

Zamianowanie znaczenia Palestyny dla ulżenia niedoli wypieranych i prześladowanych mas żydowskich (tak dobitnie podkreślone przez Prezydenta Weizmanna w historycznym przemówieniu przed Komisją Królewską) jest obowiązkiem politycznym żydostwa polskiego.

Jest to zarazem naczelne zadanie syjonistyczne XII Zjazdu.

Znaczenie XII Zjazdu w dziedzinie polityki krajowej będzie znacznie większe niż ostatnich dwóch zjazdów.

W okresie, gdy parlament reprezentuje tylko dawnych zwolenników obozu rządowego, a wszystkie partie polityczne działają poza jego murami — kongresy partyjne mają doniosłą rolę dla normalnych czasów, rolę. Opinia niezależnego społeczeństwa, sformułowana dawniej z trybuny

Sejmu i Senatu, rozbrzmiewa obecnie z trybun kongresów partyjnych. Stąd niezwykłe znaczenie odbytych w ostatnich tygodniach zjazdów polskich partii opozycyjnych, stąd też dla społeczeństwa żydowskiego specjalny charakter XII Zjazdu Organizacji Syjonistycznej, która — jak wiadomo — nie jest reprezentowana w parlamencie z r. 1935.

Jeśli zaś ostatnie dwa kolejne zjazdy syjonistyczne, odbyte w okresie ofenzywy „sanacji” skoncentrowały się w dziedzinie polityki krajowej na zdecydowanym „nie”, to obecny Zjazd stanie w obliczu zadań *pozytywnych*. Tak się bowiem złożyło w ostatnich czasach, że w dramatycznej walce o duszę społeczeństwa polskiego, o przyszłość i charakter Polski oraz o władzę w państwie, która toczy się pomiędzy obozem demokracji polskiej a obozem „narodowym” — moment żydowski znalazł się w samym centrum zagadnień spornych. W odpowiedzi na postulat głębokich reform socjalnych, wysuwany przez demokrację polską, oboz „narodowy”, którego droga do władzy prowadzi przez Nalewki, rzucił demagogiczne hasło odzyskania Polski. Zamiast reformy rolnej — odebrać Żydom stragany; zamiast reform socjalnych i istotnej walki z bezrobociem — bicie studentów żydowskich i wskazywanie na żydowskie kancelarie adwokackie — oto program endecki, nie mniej groźny dla demokracji polskiej, jak dla mniejszości żydowskiej.

Hasło to znaczyć będzie drogę syjonizmu polskiego w nowym jego etapie działania.

Demokracja polska poczyna coraz bardziej rozumieć, że walka z antysemityzmem endecki i O. N. R. leży w jej własnym interesie, podobnie, jak walka o demokrację leży w interesie Żydów.

Zadaniem XII Zjazdu Syjonistycznego i jego obowiązkiem wobec żydostwa polskiego — będzie wznowienie aktywności żydowskiej polityki prawdziwie narodowej, której podstawowym założeniem jest *przeświadczenie, że tylko demokracja jest systemem, w którym nasze życie narodowe może rozwijać się swobodnie. Walka o demokrację jest zatem naszą walką.*

Hasło to znaczyć będzie drogę syjonizmu polskiego w nowym jego etapie działania.

BYŚCIE NIE ZAPOMNIELI...

(Na marginesie książki Marszałka Śmigłego-Rydz)

„przeznaczeń Polski”. Nie dziwny się więc, gdy otrzymawszy od dow. frontu rozkaz odwrotu z Kijowa, ten żołnierz z krwi i kości popelniał pierwszą w swym życiu — jak przyznaje się — niesubordynację żołnierską, oświadczał, że wtedy tylko rozkaz ten wykona, gdy otrzyma go z własnoręcznym podpisem Naczelnego Wodza.

Użyliśmy wyrażenia: „ten żołnierz z krwi i kości” — ale nie jest przecież dla nikogo tajemnicą, że Edward Smigły-Rydz jest także człowiekiem sztuki. *Także?* Niech już nam wolno będzie wyrazić przypuszczenie, że gdyby nie anomalia porobiorowa, kariera Edwarda Rydz, malarza i absolwenta Akademii Sztuk Pięknych, poszłaby może zupełnie innymi torami... Smigły-Rydz został żołnierzem z przekonania, z *narodowej konieczności* i z tych właśnie motywów żołnierzem pozostał. Żołnierskość, opierająca się na tak solidnej podstawie, jaką jest ideowe przekonanie, urosła później do rangi życiowego credo marszałka, które — jak wiemy — przebija się w każdym niemal jego wystąpieniu politycznym.

Jakież więc jest wewnętrzne uzasadnienie tej żołnierskości z przekonania, występującej u człowieka sztuki? Autor jakby przewidział to pytanie i w kilku miejscach swej książki udzielił na nie odpowiedzi. Czytamy więc: „Jeśli wojska nie ma, najpiękniejsze zdobycze ducha ludzkiego, najlepsze urządzenia stają się lupem przedchodnia zbrojnego, który brutalna stopa najeżdźcy wdeptuje je w błoto”. A w innym miejscu: „...lisy narodu decyduje się wojna. Kultura, zamożność, najbardziej humanitarne urządzenia tak długo mają swoją wartość i znaczenie, jak długo u granic stoi silne wojsko”. Najsilniej jednak pod względem uczuciowym myśl ta została wypowiedziana w r. 1935, w przedmowie do „Albumu Legionów Polskich”. „jak śmiertelnie trudno zdobyć utraconą wolność, by poznać bolesny wstyd człowieka bez państwa, mękę i upokorzenie słabości tam, gdzie decyduje siła. Byćcie o sile nie zapomnieli!” Oczywiście, że pacyfista integralny mógłby się nie ze wszystkim z tymi poglądami zgodzić; musiałby jednak przyznać, że militarystą Smigłego-Rydz nie pretenduje wcale do roli światopoglądu, ale jest wyraźnie uwarunkowany rzeczywistością współczesnego świata, w którym „losy narodu decyduje się wojną” i „gdzie decyduje siła”.

A poglądy p. marszałka na sprawy bardziej „cywilne”, na *polską politykę wewnętrzną*? Przyznajemy się przed czytelnikiem, że czytając książkę Smigłego-Rydz szukaliśmy z szczególnym zainteresowaniem tych właśnie tematów... Otóż jest rzecz znana, że marszałek nie angażował się czynnie w polityce wewnętrznej, nie mniej jednak przy różnych okolicznościach nie wstrzymywał się od wypowiedzania się na te tematy w sposób ogólny.

I rzecz ciekawa (nie możemy wiedzieć: celowa czy przypadkowa?) — jedyny ustęp, poświęcony P.P.S., jest na wskroś pozytywny i pełen uznania: „...P.P.S. była jedynym większym stronnictwem politycznym, ośmielającym się stanąć otwarcie na stanowisku uznania idei walki zbrojnej o niepodległość Polski. W czasie całej wojny stronnictwo nie zmieniło swego niepodległościowego programu. Czasy te, to piękna karta dziejów tego stronnictwa...”

Z drugiej zaś strony czeste i obszerne enuncjacje o różnych dawniejszych i późniejszych grzechach endecki — są zdecydowanie i jawnie potępiające. Mówiąc o rozmaitych „narodowcach” z nazwy i frazesu, marszałek nie cofał się przed najbardziej ostrymi określeniami. Dramatyczna wprost jest mowa, wygłoszona dnia 16. 12. 1932 r. w dziedziatko rocznie zabójstwa ś. p. Prezydenta Gabriela Narutowicza.

„Jeśli mamy to jeszcze raz przeżyć, to dosyć dnia 11 grudnia dla okrycia nas za-

łobą. Dostyć tej przestrzeni alei Ujazdowskiej, na której rozuhał się straszliwy upiór samobójczego dawnego warcholstwa! Upiór? Nie, nie upiór, to był odłam żywej Polski w czwartym roku niepodległości narodu. Bezrząd z najpotworniejszym chamsstwem, ekstrakt najgorszych dni przeszłości skoncentrował się, by znieważać głowę państwa”. A trochę dalej: „*Bo na tej ulicy tłum rzucił kamieniami nie tylko na prezydenta, tam równocześnie kamienowano człowieczeństwo w Polsce*”.

„Jeśli apelowanie do wzniosłości i szlachetności nie znajduje odzewu, to trzeba zaciśnąć pięść, aby była twarda i apelowała do strachu i grozy”. Najsilniejsze jednak wrażenie wywołuje zakończenie mowy: „Do 16 grudnia, do tej ostatniej stacji męki, naznaczonej żalobnym szkarłatem krwi, nie idmy już i o tym nie mówmy, aby obcy jak najprędzej o tym zapomnieli. Niech tylko matki wieczorną godziną mówią o tym zdarzeniu swym dzieciom, jak o ciężkiej na narodzie plamie, którą trzeba zmyć i ekspiować, ale niech mówią szepem — bo wstyd!”

Za bardzo znaną dla oświecenia niektórych enuncjacji ostatnich dni na temat stosunku obozu legionowego do politycznego przymiotnika „narodowy”, uważamy mowę, wygłoszoną dnia 10 sierpnia 1930 r. na IX Zjeździe legionistów w Radomiu.

Marszałek zastrzegł się w niej przeciw przywłaszczaniu sobie przez pewne elementy (rozumimy, że przez endecków) pojęć „narodowy” i „Wielka Polska”. Czytamy: „Są dziwne rzeczy w Polsce. Utrzymują się pewne pojęcia, które są fikcjami, a jednak się utrzymują”. „Biliśmy się za Polskę i za polski naród. I oto okazuje się, że to, iż myśmy chcieli walczyć z bronią w ręku za naród, jest grzechem w stosunku do sumienia narodowego, bo nie my jesteśmy tymi, którzy się za narodowe w Polsce uważają. Kto inny są narodowcy, a nie my. — Dlatego, że myśmy się za Polskę bili”. „Więc jeśli się mówi o grzechu narodowej, to o nas trzeba mówić, a nie o kim innym!”. „Komendant chciał wielkiej Polski, a myśmy maszerowali tam, gdzie on jej szukał. Więc jeśli by ktoś w Polsce przyszła ochota kogoś nazwać obozem wielkiej Polski, to tylko my możemy nim być!”

Sens i intencja tych słów — są jasne i niedwuznaczne. Marszałek odbiera prawo posługiwania się nazwą narodową endeckom; sądzi, że legionisci mają największe prawo używania tego przymiotnika, bo na prawdę walczyli za naród.

Ostatnio w „klubie dyskusyjnym” obecnego sejmu pułk. Miedziński mówił na podobny temat, ale w jakże odmienny sposób. Nie demaskował „narodowców” z nazwy tylko — ale szuka mostu porozumienia z nimi: nie odbierał im samej bezprawnie przywłaszczanej nazwy — ale wskazał także gotowość przyswajania negatywnej treści, nadanej tej nazwie przez jej dotychczasowych właścicieli; nie wspominał niezmyślonych grzechów — ale za wszystko przebaczył... Jaka ogromna różnica!

Nowsze enuncjacje publiczne p. marszałka, opublikowane w omawianej książce, są dobrze znane czytelnikom. Poprzedziliśmy więc tylko na przypomnienie jego przemówienia z dn. 24 maja 1936 r., w którym wypowiedział się przeciw stosowaniu ekskluzywizmu obozu legionistów, a za współpracą najszerszych rzesz społeczeństwa w dziedzinie obrony państwa: „*Trzeba umieć patrzeć prawdzie w oczy. Gdybyśmy uważali, że Polska może liczyć tylko na nas, mając trzydzieści kilka milionów obywateli, to świadczyłoby to tragicznie o Polsce*”. „...Obok was musza stać inni”...

W deklaracji swej ptk. K. c. czytał mowę Marszałka. Tego ostatniego ustępu jednak nie przytoczył.

Sejmu i Senatu, rozbrzmiewa obecnie z trybun kongresów partyjnych. Stąd niezwykłe znaczenie odbytych w ostatnich tygodniach zjazdów polskich partii opozycyjnych, stąd też dla społeczeństwa żydowskiego specjalny charakter XII Zjazdu Organizacji Syjonistycznej, która — jak wiadomo — nie jest reprezentowana w parlamencie z r. 1935.

Jeśli zaś ostatnie dwa kolejne zjazdy syjonistyczne, odbyte w okresie ofenzywy „sanacji” skoncentrowały się w dziedzinie polityki krajowej na zdecydowanym „nie”, to obecny Zjazd stanie w obliczu zadań *pozytywnych*. Tak się bowiem złożyło w ostatnich czasach, że w dramatycznej walce o duszę społeczeństwa polskiego, o przyszłość i charakter Polski oraz o władzę w państwie, która toczy się pomiędzy obozem demokracji polskiej a obozem „narodowym” — moment żydowski znalazł się w samym centrum zagadnień spornych. W odpowiedzi na postulat głębokich reform socjalnych, wysuwany przez demokrację polską, oboz „narodowy”, którego droga do władzy prowadzi przez Nalewki, rzucił demagogiczne hasło odzyskania Polski. Zamiast reformy rolnej — odebrać Żydom stragany; zamiast reform socjalnych i istotnej walki z bezrobociem — bicie studentów żydowskich i wskazywanie na żydowskie kancelarie adwokackie — oto program endecki, nie mniej groźny dla demokracji polskiej, jak dla mniejszości żydowskiej.

Hasło to znaczyć będzie drogę syjonizmu polskiego w nowym jego etapie działania.

Demokracja polska poczyna coraz bardziej rozumieć, że walka z antysemityzmem endecki i O. N. R. leży w jej własnym interesie, podobnie, jak walka o demokrację leży w interesie Żydów.

Zadaniem XII Zjazdu Syjonistycznego i jego obowiązkiem wobec żydostwa polskiego — będzie wznowienie aktywności żydowskiej polityki prawdziwie narodowej, której podstawowym założeniem jest *przeświadczenie, że tylko demokracja jest systemem, w którym nasze życie narodowe może rozwijać się swobodnie. Walka o demokrację jest zatem naszą walką.*

Hasło to znaczyć będzie drogę syjonizmu polskiego w nowym jego etapie działania.

Demokracja polska poczyna coraz bardziej rozumieć, że walka z antysemityzmem endecki i O. N. R. leży w jej własnym interesie, podobnie, jak walka o demokrację leży w interesie Żydów.

Zadaniem XII Zjazdu Syjonistycznego i jego obowiązkiem wobec żydostwa polskiego — będzie wznowienie aktywności żydowskiej polityki prawdziwie narodowej, której podstawowym założeniem jest *przeświadczenie, że tylko demokracja jest systemem, w którym nasze życie narodowe może rozwijać się swobodnie. Walka o demokrację jest zatem naszą walką.*

Hasło to znaczyć będzie drogę syjonizmu polskiego w nowym jego etapie działania.

Demokracja polska poczyna coraz bardziej rozumieć, że walka z antysemityzmem endecki i O. N. R. leży w jej własnym interesie, podobnie, jak walka o demokrację leży w interesie Żydów.

Zadaniem XII Zjazdu Syjonistycznego i jego obowiązkiem wobec żydostwa polskiego — będzie wznowienie aktywności żydowskiej polityki prawdziwie narodowej, której podstawowym założeniem jest *przeświadczenie, że tylko demokracja jest systemem, w którym nasze życie narodowe może rozwijać się swobodnie. Walka o demokrację jest zatem naszą walką.*

Hasło to znaczyć będzie drogę syjonizmu polskiego w nowym jego etapie działania.

Demokracja polska poczyna coraz bardziej rozumieć, że walka z antysemityzmem endecki i O. N. R. leży w jej własnym interesie, podobnie, jak walka o demokrację leży w interesie Żydów.

Zadaniem XII Zjazdu Syjonistycznego i jego obowiązkiem wobec żydostwa polskiego — będzie wznowienie aktywności żydowskiej polityki prawdziwie narodowej, której podstawowym założeniem jest *przeświadczenie, że tylko demokracja jest systemem, w którym nasze życie narodowe może rozwijać się swobodnie. Walka o demokrację jest zatem naszą walką.*

Hasło to znaczyć będzie drogę syjonizmu polskiego w nowym jego etapie działania.

Demokracja polska poczyna coraz bardziej rozumieć, że walka z antysemityzmem endecki i O. N. R. leży w jej własnym interesie, podobnie, jak walka o demokrację leży w interesie Żydów.

Zadaniem XII Zjazdu Syjonistycznego i jego obowiązkiem wobec żydostwa polskiego — będzie wznowienie aktywności żydowskiej polityki prawdziwie narodowej, której podstawowym założeniem jest *przeświadczenie, że tylko demokracja jest systemem, w którym nasze życie narodowe może rozwijać się swobodnie. Walka o demokrację jest zatem naszą walką.*

Hasło to znaczyć będzie drogę syjonizmu polskiego w nowym jego etapie działania.

Mały felieton

Megafon

Na placu tłum stoi w skupieniu.
Deszcz pada, pada, pada.
Przez potężny megafon płyną słowa,
słowa, słowa.

Pod megafonem stoją ludzie, którzy
nie mają własnych superheterodym ze stereofonicznym odtwarzaniem, ba — nawet
tacy, którzy nie mają mieszkania, ani karta,
ani pracy, ani grosza przy duszy.

Z nieba leje się deszcz i pada śnieg,
deszcz i śnieg, deszcz i śnieg.
A z megafonu płyną słowa, słowa, słowa.
O pracy, o chlebie.

Ciepłej się robi od słuchania tych słów.
Jak gdyby się już dzisiaj miało lyknie ciepłej
strawy, jak gdyby to już dziś było
jutro — Pracy...

Padaj deszcz, deszcz, deszcz.
Płyną słowa, słowa, słowa.
A nad Placem roznosi się cichy jęk.

Czy to wiatr jęczy w tę niepewną pogodę
w ten letowy dzień, zamiatany bladym
uśmiechem słońca, zgazonym wnet
siecącym biczem gradu?

Czy też płacze coś pod płytą?
Któż odważy się powiedzieć, że ten Nie-
znany, którego krwawą wiązką w pobożo-
wisko lwowskie, a kości spoczywają w
Panteonie, należał z całą pewnością wła-
śnie do tej pierwszej kategorii, o której
mówi się „My, My, My”...

Ze nie należał do tej drugiej przygar-
niętej —
albo nawet do tej trzeciej, ostatniej,
l-dwo tolerowanej kategorii?

Ze nie umierał z wiarą, iż jego bracia
będą mogli żyć na tej ziemi, użyźnionej
jego krwią; że słowa o chlebie i pracy,
płynące przez megafon i tchnące nadzieją,
będą także i do nich skierowane?

LEGENS

ESQUIRE

Inż. A. Glizer

Między aktem drugim a trzecim

(Korespondencja własna „Steru“ z Palestyny)

Okres, który obecnie Palestyna przeżywa, najlepiej chyba określić mianem antraktu. Po pierwszym akcie dramatu, po pół rocznych rozruchach arabskich, nastąpił prawe bezpośrednio akt drugi: publiczne śledztwo Komisji Królewskiej. Akt trzeci dopiero nas czeka: będzie nim ogłoszenie sprawozdania Komisji Peel'a i walka, która się niewątpliwie dookoła zaleceń tego sprawozdania rozwinie. Tymczasem nadszedł jak gdyby okres przerwy i odprężenia w nie ustającym, pośpiesznym i napiętym wyścigu zdarzeń, którego widzami i aktorami zarazem byliśmy od blisko roku. Za sceną trwa ruch. Ani terror arabski, ani śledztwo Komisji Królewskiej nie są zamknięte. Ale na scenie panuje względny spokój. Stosowna to pora dla widzów i aktorów na rozważenie się w sytuacji, spojrzenie wstecz, ocenę przebytej i przeżytej drogi. Nie oznacza to bynajmniej okazji do kontemplacji i bezczynności. Za sceną panuje, jak się rzekło, ruch, i to ożywiony, który nie pozwala spocząć nawet w antrakcie. Zarówno ewentualność (nie pewność) ponownego wybuchu arabskiego, jak i fakt, że Komisja znajduje się obecnie właściwie w najważniejszym okresie swej działalności w fazie formułowania wniosków, narzucają konieczność intensywnej akcji przygotowawczej również i między aktami wielkiego dramatu. Komisja Peel'a nie żyje w szklanej kuli. Pomimo wewnętrznego charakteru obecnej jej pracy rzeczą wielkiej wagi jest atmosfera, którą otoczy jej wysiłek i przy pomocy której wpłynie na jej wnioski angielska i światowa opinia publiczna. Oto jedna z przyczyn, dla których właśnie obecnemu antraktovi należy przypisać pierwszorzędną doniosłość. Druga to konieczność maksymalnego wyzyskania okresu względnego spokoju dla przygotowania i umocnienia pozycji — gospodarczych, politycznych, fizycznych, — na których wypadnie nam stać w zmaganiach aktu trzeciego naszego dramatu.

Z czym wychodzimy z dwu pierwszych aktów? Patrząc wstecz na owo 10 miesięcy, które upłynęły od pamiętnego niedzielnego ranka 19-go kwietnia 1936 r. w Jaffie, należy stwierdzić przede wszystkim: są to pierwsze rozruchy w Palestynie pod rządem Anglii, które nie zakończyły się natychmiastową przegraną Żydów. Kilku dniowe rozruchy lat poprzednich miały każdorazowo efekt błyskawiczny: wstrzymanie imigracji żydowskiej. Przerwa w imigracji przemijała potem, ale zostawała „Biała Księga”, polityczny wyraz wysiłków władzy mandatowej ku udobruchaniu Arabów kosztem Żydów. „Białej Księgi” o rozruchach 1936 r. jeszcze nie ma i nie wiadomo, jaka będzie jej treść. Ale rozruchów już nie ma, a imigracja trwa — w rozmiarach skurczonych, i z tym nie można się pogodzić, — ale bez przerwy. Pomimo splendoru królów i efektu ich uroczystych manifestów „do naszych synów w Palestynie” nie nie może zmienić, ani choćby zatrzeć faktu: Arabowie, nie Żydzi, przegrali tym razem pierwszy akt dramatu. Ogromna stosunkowo machina terroru indywidualnego, wojny partyzanckiej i strejku powszechnego, uruchomiona pod potrojnym hasłem zupełnego przerwania imigracji żydowskiej, zupełnego zakazu zakupu ziemi przez Żydów i utworzenia rządu narodowego, nie mogła osiągnąć nawet czasowej przerwy w imigracji, choć publiczną było tajemnicą, że kierownictwo arabskie najzupełniej się taką przerwą zadowoliło, bynajmniej nie czekając na spełnienie urzędowych swych zadań. Tej, względnie taniej, ceny za spokój tym razem — po raz pierwszy w dziejach brytyjskiego panowania w Palestynie — nie zapłacono i rozruchy — znowu po raz pierwszy — zakończyły się bez kompensaty.

Wiadomo, że pęd do płacenia był po

stronie angielskiej może nie mniejszy, niż pęd do otrzymania zapłaty po stronie arabskiej. Jeżeli transakcja pomimo to wbrew tradycji nie doszła do skutku, to chyba dlatego, że obiekt jej w międzyczasie przestał być obiektem. Żydzi nie są tylko przedmiotem polityki palestyńskiej, są w mierze, która tym razem zdecydowała, również — jej podmiotem. Od deklaracji Balfoura jest tak w teorii, z roku na rok jest tak co raz bardziej i w praktyce. Na czymże polegała samodzielna polityka żydowska w Palestynie w okresie rozruchów? Gdybym miał sformułować odpowiedź w dwóch słowach, powiedziałbym: na *kontynuacji życia*. Nie wolno, aby nas fala ataku zalała, ale również jest ważne, aby nas nie poniosła. Każdy atak musi być odparty, ale nie wojna, lecz życie jest sensem i celem. Dlatego Żydzi nie opuścili ani jedn., nawet najmniejszej i najbardziej na napaści wystawionej, miejscowości w Palestynie. Ale dlatego też nie dali się pociągnąć do pochopnych aktów odwetu. Dlatego Arabowie nie zdołali nie tylko zniszczyć, ale nawet wtargnąć do żadnej kolonii. I dlatego barbarzyńskie, nie rycerskie metody ich

walki, napady na starców, kobiety i dzieci, strzały z zasadki, bomby, rzucane na szkoły, podpalenia i niszczenie drzew, nie zdołały zarazić samoobrony żydowskiej, wytrącić jej z równowagi, pociągnąć jej do zatarcia wąskiej, czasem niewidzialnej, granicy, która istnieje między obroną a napadem, pchnąć jej do wykroczenia poza ramy, które nasz własny rozum i sumienie wyznaczyły.

To samo, co na odcinku obrony, dzieło się i na odcinku gospodarczym: pomimo dezorganizacji, wywołanej strejkami arabskimi, życie gospodarcze musi płynąć swoim korytem. Nie wolno się dać wygłodzić i zdławić (a taka była intencja strejku), ale też i nie dopuścić do tego, aby nacisk wykryty lub załamany linie rozwojową. Sensem gospodarki palestyńskiej nie jest utrzymanie tego, co już jest, ale nieustanny wzrost. Dlatego zrobiono wszystko, co możliwe, aby bieg życia najmniejszym uległ zakłóceniu, aby gospodarstwo wzmocnić, aby komunikacje nie uległy przerwie, aby aprowizacja trwała i była wystarczająca. Ale zarazem nawet, a może właśnie okres ostatnich 10 miesięcy został wyzyskany dla rozbudowy i

postępu. Zdobycze tego okresu, port w Tel-Awivie, podwojenie i potrojenie liczby robotników żydowskich w rolnictwie, wkrócenie pracy żydowskiej do portów i robót publicznych, początek kolonizacji na zupełnie nowych terenach, oto część tylko bilansu, którym prawdopodobnie najspokojniejszy nawet 10 miesięcy nie łatwo by się mogło pochwalić.

I to samo wreszcie na odcinku politycznym. Tak samo, jak w trakcie rozruchów, aktualne potrzeby i konieczność doprowadzenia rozruchów do końca nie zaciemniły świadomości, że kontynuacja imigracji, a w Palestynie to jest kontynuacja życia, nie może być złożona na ołtarzu doraźnego uspokojenia kraju, tak znowu w drugim akcie dramatu, wobec Komisji Królewskiej, usprawiedliwione rozgoryczenie, naturalna chęć wyładowania się, nie zdołały zepchnąć Żydów z trudnej i niewdzięcznej linii skarg uzasadnionych i pozytywnych żądań na efektywne łatwizny wielkich słów i maksymalizmu, za którym zwykła się kryć nieodpowiedzialna bezsilność. Nikt już dziś chyba nie kwestionuje słuszności sporu, z którym Agencja Żydowska przeciwstawiła się przerwaniu imigracji, uporowi, któremu nie tylko Żydzi, ale i Anglia ma do zaudziwienia, że rozruchy nie zakończyły się kapitulacją wobec terroru. Możemy teraz z kolei zrobić porównania z maksymalistycznym wystąpieniem Arabów wobec Komisji Królewskiej, albo z efektywną propozycją zrzeczenia się mandatu, którą lord Peel usłyszał wraz z wieloma innymi pięknymi — i zgoła niepięknymi — rzeczami od pierwszego świadka, którego przesłuchiwał w Londynie. Czyż nie przekonywa takie skromne porównanie, że skoro mufti po raz trzeci urządził rozruchy, a Anglicy po raz trzeci nie spełnili tego, co do nich należy tak, jak należy, — nie ma jeszcze powodu do trącenia głowy, do naśladowania metod przeciwnika i do porzucania wytycznych, które pomimo wszystko, zrobiły już z nas wielką, może decydującą siłę w Palestynie?

Dobrze jest w antrakcie, przygotowując się do aktu trzeciego, uświadomić sobie przebieg dwóch poprzednich. I dobrze jest, zwłaszcza gdy się gra rolę główną, stwierdzić, że rola została odegrana należycie.

Tel-Awiv, 20 luty 1937 r.

Michael Assaf

Idea panarabska w teorii i w praktyce

Znaczenie ruchu panislamskiego tkwi przede wszystkim w dziedzinie duchowej i polityczno-moralnej. Zwalczając on i zwalczając obecnie najgroźniejszego dla każdej zbiorowości społecznej wroga: samopogardę. Afgani i Arabowie usiłowali wpoić w społeczność muzułmańską przekonanie, że ma wszelkie warunki duchowe i materialne, aby się przeciwstawić Zachodowi. Tej świadomości przypisywać należy o wiele większe znaczenie, niż milionom franków, które sułtan Abdul Hamid zbierał w świecie muzułmańskim na budowę kolei żelaznej t. zw. linii Hedżasu. Droga ta, która miała ułatwić milionom muzułmanów pielgrzymkę do miejsc świętych, była jedynym konkretnym i wielkim dziełem, związanym z ruchem panislamskim.

Wszelkie jednakże próby, idące w kierunku ujęcia ruchu w jednolitą formę organizacyjną, spełżyły na niczym. Muzułmanie w liczbie około 300 milionów tworzą wprawdzie w sensie abstrakcyjnym jeden świat, ale za to *wiele* światów w rzeczywistości.

Ręka w rękę z rozwojem ruchu panislamskiego na Wschodzie kroczy w Turcji *ruch narodowy*, oparty na kryteriach rasowych, *ruch patriotyczny* w Egipcie, który z biegiem czasu przekształcił się w narodowy, oraz szereg innych ruchów narodowych w krajach muzułmańskich. Sułtan Abdul Hamid, imperialista turecki i orientalny tyran, który przy pomocy Afgani'ego stanął na czele ruchu panislamskiego, — chciał przede wszystkim wyzyskać panislamizm dla swych własnych dynastycznych celów. Arabowie w państwie tureckim, porwani falą narodowego uświadomienia, rychło zrozumieli, że sułtan pragnie przy pomocy panislamskich ideałów jeszcze mocniej zacisnąć ich pęty niewoli i poddaństwa.

Z drugiej strony elementy postępowe w Turcji, zrzeszone w t. zw. ruchu Młodych Turków, widziały w panislamizmie narzędzie, służące do utrzymania i wzmocnienia starego, skorumpowanego reżymu tureckiego w społeczeństwie i państwie.

Ponieważ i Młodzi Turcy i Arabowie szli łącznie za głosem narodowego odrodzenia, wspólnej krwi i rasy, — uważali oni panislamizm za czynnik, hamujący ich dążenia narodowe.

Rok 1908 — rok rewolucji Młodych Turków przeciwko sułtanowi Abdul Hamidowi — był punktem zwrotnym w rozwoju ruchu panislamskiego. Obalenie sułtana było śmiertelnym ciosem dla panislamizmu, jako ruchu politycznego. Odwróżyły się wtedy drogi dla rozwoju ruchu pantureckiego, t. zw. panturanizmu, a w krajach arabskich dla krystalizacji *ruchu panarabskiego*.

Ruch ten łączy w sobie dążenia dwójakiego rodzaju i zakresu:

1. dążenie do połączenia i zjednoczenia wszystkich mówiących po arabsku ludów w Azji Przedniej i Afryce Północnej na wzór wielkiego imperium arabskich kalifów w czasach jego świetności oraz imperium tureckiego, aż do połowy 19 stulecia;

2. dążenie do połączenia wszystkich krajów w Azji, które nie tylko językowo, lecz również pod względem rasy są arabskie, — w jedno państwo.

W związku z drugim dążeniem wchodzi w rachubę jako części składowe wielkiego państwa arabskiego, następujące kraje: Półwysep Arabski, Irak, Syria z Libanem oraz Palestyna po obydwu stronach Jordanu.

Ruch panarabski w swym pierwszym — nacjonalistycznym — pojęciu nie ma w obecnych warunkach politycznych i w aktualnym układzie sił na Bliskim Wschodzie żadnych szans rzeczywistnienia. Albowiem ruch ten musi się bezpośrednio zderzyć z wszystkimi imperialistycznymi mocarstwami (Anglią, Francją, Włochami i również Hiszpanią). Nie ma on również widoków realizacji w samym świecie arabskim, gdy wzięmy pod uwagę jego wewnętrzny układ sił. Egipt np. nigdy nie zgodzi się na hegemonię innego arabskiego kraju w wielkim państwie arabskim. Pozostałe kraje Afryki Północnej, oddalone od bazy arabskiej w Azji i od wieków zwa-

żające jej wpływy, — również nie zgodzą się na taką hegemonię. Nie można liczyć na to, że kraje te udziela swej zgody z powodu trudności komunikacyjnych i złych warunków ekonomicznych. Współczesny, mówiący po arabsku, świat jest tak słaby, że wszelkie dążenia do stworzenia panarabskiego imperium uważać należy tylko za piękną fantazję.

Natomiast drugie, na kryteriach rasowych oparte, dążenie ruchu panarabskiego wydawało się w roku 1916/18 bliskie urzeczywistnienia. Hussein, król Hedżasu, ogłosił się królem Arabów i rozpoczął pertraktacje z gubernatorem angielskim w Egipcie w sprawie utworzenia w Azji państwa arabskiego, któreby połączyło wszystkie pod względem rasowym arabskie kraje. Plan jednak się nie udał.

Główna i najciekawsza przyczyna klęski tkwiła w obojętności, z jaką niektóre kraje arabskie przyjęły projekt utworzenia państwa. Mimo silnych dążeń do odrodzenia narodowego, mimo mocno zakorzenionej idei panarabskiej — wystały w pierwszym rzędzie na jaw różnice geograficzne, ekonomiczne i kulturalne w świecie arabskim, różnice, które zadecydowały o klęsce projektu.

Stosunek Anglii i Francji do ruchu panarabskiego jest jednak najbardziej decydującym czynnikiem w jego rozwoju. Trudno sobie wyobrazić powstanie federacji czy konfederacji krajów arabskich w czasie, gdy pozostają one pod mandatem czy też leżą w sferze wpływów dwóch różnych mocarstw: Anglii i Francji. Polityka francuska sprzyjałaby wprawdzie może zawarciu umów i paktów, ale o jednolitej arabskiej sile politycznej mowy tu być nie może. Również polityka angielska nie wykazywała do czasów wojny włosko-abisyńskiej żadnych skłonności do stworzenia konfederacji arabskiej.

Konflikt włosko-abisyński, który wywołał pewne zawikłania w stosunkach angielsko-włoskich i przyczynił się do zagrożenia pozycji brytyjskich na wschod-

nim brzegu Morza Śródziemnego (Egipt, Palestyna i blok arabskich krajów), — posunął dopiero o krok naprzód dążenia panarabskie, Anglia mianowicie poparła zawarcie przymierza wojskowego między Saudią a Irakiem. W ten sposób zawarty został pokój między dwiema arabskimi dynastiami, które dotychczas zwalczały się wzajemnie na śmierć i życie. W fakcie tym panarabiści dopatrują się początku utworzenia arabskiej konfederacji. W rzeczywistości jednak związek ten nie przedstawia permanentnej siły politycznej, a stanowi jedynie ogniwo w łańcuchu akcji obronnej imperium brytyjskiego.

W związku z tym zaznaczyć należy, że obawa przed drugą wojną światową, którą żywi ostatnio Anglia, — nie pozostaje bez wpływu na politykę arabskich. Panarabska polityka samodzielnych państw arabskich orientuje się niedwuznacznie na Anglię. Francja nie jest lubiana w bloku arabskim, Włochy zaś są wręcz przezeń znieawidzone. *Obawa, że przyszła wojna zachwieje może potęgą W. Brytanii, ciąży na politykach arabskich i zmusza ich do szukania dróg wewnętrznej konsolidacji.*

Jak więc widzimy, ruch panarabski osiągnął do chwili obecnej dość szczupłe wyniki w praktyce — w dziedzinie politycznej. Natomiast kulturę arabską wzbogacił i wzmocnił w sposób niebywały.

Po omówieniu czynników historycznych, genezy i rozwoju ruchu panislamskiego i panarabskiego — przejść możemy do analizy narodowego ruchu arabskiego w Palestynie.

Ale o tym w odrębnym artykule.

J. Leser

Rodowód faszyzmu

Bertrand Russel, głośny matematyk i filozof angielski, jest jednym z nielicznych, a może i jedynym pisarzem, którego książki o treści filozoficzno-społecznej przetłumaczone zostały na wszystkie prawie języki europejskie, osiągając ogromne nakłady. Tę wielką swoją poczytność zawdzięcza Russel w pierwszym rzędzie wyjątkowemu talentowi, który łączy w sobie głębię ścisłego filozofa z niezwykłą błyskotliwością umysłu. Ten par excellence filozof potrafi wyłożyć najbardziej zawiłe zagadnienia w sposób rzadko przystępny. O stylu Russela można śmiało powiedzieć, że cechuje go jasność i zwięzłość naukowa, połączona z zacięciem publicystycznym w najlepszym tego słowa znaczeniu. Temu też należy przypisać, że książki jego, napisane na tematy poważne i zawiłe, znajdują chętnych czytelników również wśród sfer, których strawą duchową jest wyłącznie nie wymagająca zbyt wielkiego wysiłku umysłowego lektura beletrystyczna.

Ostatnio ukazała się na półkach księgarskich nowa książka Russela w tłum-

czeniu polskim pod frapującym tytułem „Pochwała próżniactwa” (Warszawa, wyd. Rój, 1937). Jest to zbiór aktualnych, esejów. Autor usiłuje w nich dać odpowiedź na różne dręczące nasze pokolenie zagadnienia przez oświecenie każdego problemu od podstaw. Jednym z najciekawszych esejów jest szkic p. t. „Genealogia faszyzmu”.

Autor sięga aż do Huméa, którego system filozoficzny (krańcowy sceptycyzm) dał początek irracjonalizmowi, na którym, wedle Russela, opiera się faszyzm. Sceptycyzm Huméa postawił bowiem racjonalizm i antyracjonalizm na równej płaszczyźnie niepewności. To właśnie zrównanie racjonalizmu i irracjonalizmu u Huméa wywarło zasadniczy wpływ na filozofię niemiecką z Kantem na czele, na kantowski system podziału teorii poznania z punktu widzenia „czystego” i „praktycznego” rozumu. „Praktyczny rozum” Kanta, nie mający nic wspólnego z obserwacją i doświadczaniem, był nawrotem do irracjonalizmu i subiektywizmu. Nauka Kanta była punktem wyjścia dla

filozofii Fichtego, która znalazła swój wyraz w jego lapidarnym powiedzeniu: „wszechświat to ja”.

Znane jest twierdzenie Kanta, że nie jesteśmy w stanie poznać „rzeczy samej w sobie i że świat zewnętrzny ma dla naszej zdolności poznawania tylko znaczenie zjawiska. Fichte wyciągnął z tego twierdzenia pełną konsekwencję i zaprzeczył w ogóle istnieniu świata poza nami. Wedle niego, obracamy się wyłącznie w świecie idei, cały świat zewnętrzny istnieje tylko w zależności od nas. Russel jako przemiłca istnienie związku przyczynowego między teorią filozoficzną a jego credo politycznym. Uważam, że to egocentryczne nastawienie do świata zewnętrznego zostało później rozszerzone do narodu całego. Fichte stał się protagonyście krańcowego nacjonalizmu niemieckiego, oparte-go na irracjonalnym „żarze patriotycznym”. Stało się to po rozgromieniu i upokorzeniu Niemiec przez Napoleona.

Fichte w swoich „Mowach do narodu niemieckiego” dał początek megalomanii narodowej Niemców. Jego teoria o wyższości narodu niemieckiego nie miała wprawdzie nic wspólnego z teorią czystości rasy nordyckiej, opierała się bowiem na supremacji języka niemieckiego

nad wszystkimi innymi, nie mniej zawierała ona te wszystkie dane, które składają się na ideologię narodowo-socjalistyczną. Cała filozofia Fichtego — to jeden wielki protest przeciwko wszechwładnemu panowaniu rozumu wieku 18-tego.

Subiektywizm Fichtego i jego antydemokratyczne nastawienie do spraw społecznych („wszystko dla wybranych”) wywarły wpływ na Carlyle'a, na jego „Kult bohaterów”, który znow znalazł tak żywy oddźwięk w filozofii Nietsche'go i jego teorii o Nadczłowieku.

Cała filozofia Nietsche'go i jego nastawienie do życia była antytezą racjonalizmu, a zarazem chrześcijaństwa. Dla Nietsche'go była ludzkość cała tylko środkiem do wychowania jednostek nieprzeciętnych. Kolidowało to z światopoglądem utylitarystycznym i chrześcijańskim. Nietsche nie był jednak nacjonalistą, ani antysemitą, obca mu była teoria ras, ale mimo to uważają go hitlerowcy za swego patrona i nauczyciela, a to dzięki kultowi: siły i woli. Nauka Nietsche'go, stosująca miast rozumu — intuicję, miast argumentacji — siłę i wolę, została przez faszyzowski Niemcy wyzyskana dla celów nacjonalistycznych. I tu, naszym zdaniem, powtórzyło się to samo, co stało się z filozoficznym egocentryzmem

Fichtego. Nietscheański kult „Nadczłowieka” został obecnie zastąpiony przez kult „nadnarodu”, za jaki się Niemcy uważają. Megalomania narodowa, zapoczątkowana przez Fichtego, została przez hitlerizm doprowadzona do absurdu. Wszystko, co się w Niemczech głosi, należy traktować sub specie narodu. Nawet nauka, która nie powinna dążyć do żadnych ubocznych celów, jak tylko do wykrycia prawdy, nie jest w Niemczech wyłączona z pod kontroli utylitarystycznego narodowego. Hitlerowcy nie uznaje prawdy obiektywnej, lecz tylko taką, która może się przydać narodowi niemieckiemu w pojęciu jego proroków i opiekunów. I tak teoria czystości rasy, która z punktu widzenia czystej nauki jest zwyczajnym absurdem, została w Niemczech podniesiona do znaczenia fundamentalnego i stała się punktem wyjścia dla ideologii hitlerowskiej.

Tak wygląda oblicze faszyzmu z punktu widzenia historyczno-filozoficznego. Racjonalista i socjalista — Russel, w myśl utylitarystycznej etyki Bentham'a: „Największą szczęśliwość dla największej ilości ludzi”, — wierzy w zwycięstwo socjalizmu nad faszyzmem.

Syn ghetta a patrycjusz frankfurcki

(W setną rocznicę zgonu Ludwika Börne'go)

W ostatnim dziesięcioleciu niejednokrotnie próbowano — z różnych stron i w różny sposób — aktualizować życie i twórczość Ludwika Börne'go, opierając się na biografiiach i wyciągach z jego dzieł. W naszych rozważaniach traktować będziemy Börne'go przede wszystkim jako postać, która odegrała specyficzną rolę w tragedii emancypacji. Zaś jego działalność polityczna wyłomowała się da, zdaniem naszym, warunkami epoki, w której żył, — i tylko sub specie tej epoki rozpatrywana być może. Börne przyszedł do literatury niemieckiej bezpośrednio z ghett. Szukał ideału, który jego zdaniem był nieosiągalny i dlatego asymilacja Börne'go wyczerpywać się musiała — w krytyce.

Urodził się jako Löb Baruch w dzielnicy żydowskiej Frankurtu. Ojciec jego, który miał reprezentować interesy żydowskie przed Kongresem Wiedeńskim, był członkiem frankfurckiej gminy żydowskiej. Dla niego, jako wybitnej osobistości pierwszego pokolenia emancypacji, charakterystyczne są dwa momenty: wychował swego syna w duchu religijnym i pragnął go ulokować w wiedeńskim urzędzie kanclerskim (Metternich miał pono zaproponować Jakubowi Baruchowi tytuł „radcy królewskiego” dla syna). Börne'go nauka żydowska nudziła i zrażała, w końcu, zgodnie z wolą ojca, zrezygnował z kariery. Pierwsze pokolenie emancypacji dążyło do urzędowania się, zapewnienia sobie bytu, — do powodzenia; drugie walczyło o prawo, wolność, udział w życiu politycznym i dlatego opuściło żydostwo. Pierwsze pokolenie odczuwało szanse, drugie — przeszkody. Skutek był w drugim pokoleniu radykalny: ucieczka od żydostwa i samonienawiść, która właśnie tak silnie u Börne'go występuje.

Jako czternastoletni chłopiec, student w Giessen, odzwyczajony się już Löb Baruch od żydowskiej narzecza niemieckiego (t. zw. edles Frankfurter Judendeutsch), by wkrótce pisać „bardziej po niemiecku, niż Niemcy.” Studiuje prawo państwowe i skarbowość, aby później w przyszłości utożsamiać żydostwo z żądzą pieniądza. Wstępuje do służby policyjnej, w której emerytowany zostaje w r. 1814. W roku 1818 chrzci się, przyjmując nazwisko Ludwika Börne. Zakłada czasopismo, podlega cenzurze i wstawia się krytykami teatralnymi, których ostrze skierowane jest przeciw światowemu „teatrowi politycznemu”. Z Paryża pisze do Madame Wohl znanych 115 „Listów paryskich”. Był chorowity cierpliw na gruźlicę, nie dosłyszał, był wrażliwy, kapryśny i kwaśny. Zmarł przed stu laty, w lutym 1837 r., w Paryżu.

„Sprawiła mi pani wiele radości!” — powiedział, umierając, do Pani Wohl. Była ona przystojną, smukłą kobietą, rozwódką. Towarzyszyła Börne'wu w podróży, pisywała do niego serdeczne listy; zawsze potrzymywała go na duchu — wesoła, cierpliwa i dobrodusza. Była dobrą aniołem dla Börne'go — miała dlań pełny podziw. Łączyła ich oboje platoniczna przyjaźń — mimo złych języków. Rozdwojenie życia Börne'go zaznacza się też w jego stosunku do kobiet. Jeanette Wohl wyszła powtórnie za męża, gdy Börne żył jeszcze, a gdy umarł, zmusiła swego męża do pojedynku z Heinem, który nazwał ją żoną Börne'go.

Börne nie mógł mieć lepszego przyjaciela, niż ta kobieta, i — jeżeli tak rzec można — lepszego wroga, niż Goethe. Wrogość ta była w istocie tylko jednostronna — Goethe nie wiele sobie z niej robił. Goethe był synem frankfurckiego patrycjusza, Börne synem frankfurckiego ghett. Goethe imponował apollinijską wprost postacią, Börne był słaby, chrowity, wrażliwy. Goethe osiągnął z łatwością i w sposób naturalny wszystko, Börne mu wszystko przychodziło ciężko, nie był dzieckiem szczęścia, widział wciąż przed sobą trud, nędzę, chaos, służalczość, niepokój. I dlatego Börne patrzył na Goethe'go, jak na olimpijczyka, którego nie obchodzi życie na tym padole. Srodze zmęciła się na Börne'go jego koncepcja, łącząca sztukę z polityką. Zatracił przez to nie tylko zmysł dla sztuki, ale nadwyreżył również swój zmysł polityczny. Fanatycznie nawoływał do czynów, do życia, aż przeoczył własne urzeczywistnione życie. Zawisł, bez pozytywnych wartości, między literaturą, polityką i filozofią; był zbyt moralny, aby zostać artystą lub socjalistą, a miał zbyt artystyczną duszę, aby ująć swój umysł i wolę w pewien systemat. Był — jak rzekł Helbel — „ślepy” demokratą. Nazwa ta przynosi mu również zaszczyt. Akcentuje ona jego fanatyczną jednostronność, surowość, nienawiść wobec wszelkiej taktyki i kompromisów. Dlatego też stosunek Börne'go do Heine'go jest tak negatywny. Heine był dlań nie tylko „arystokratą”, lecz także ugodowcem, wygodniem, zdracą z chuci i pogoni za użyciem. Heine zaś nazywa Börne'go prototypem ascety i zaklepionym pryncypialistą.

Pelen zachwyty był Börne dla Jana Paula. Mowa ku jego czci jest najpiękniej-

szym dziełem Börne'go, a styl Paula jest dla niego wzorem.

Stanowisko Börne'go wobec żydostwa było nie mniej emancypacyjne, rozdwojone i uwarunkowane epoką. Żydzi biblijni wydawali się Żydowi z 19 stulecia, „jakby chcieli trawestować powszechną historię”; STER Ludwik Börne 1 A dla współczesnych mu rodaków nie był jednak Börne łaskawszy. „Ci wprawdzie tego nie robią, najwyżej parodiują ową trawestację: Trzy są rzeczy, które potrafią cenić: po pierwsze: pieniądze, po drugie: pieniądze i po trzecie: pieniądze.” (Do Henrietty Herz). Później, w roku 1831, znalazł wzniosłe słowa pochwały dla Żydów polskich: jeżeli powstanie przyniesie im wolność, staną się w ciągu jednego roku najwspanialszymi ludźmi, Polakami, — potrzeba „im tylko jednego roku, aby na wolność zasłużyli, aby ją wywalczyli, aby sobie zdobyli Ojczyznę”. Krytyka Niemców łączy się u Börne'go z żydowskim pochodzeniem, które potęgowało jego patriotyzm. Ponieważ nie urodził się w żadnej ojczyźnie, pragnął gorąco ojczyzny i „tyl-

ko wystarczy mi cała duża ojczyzna, tak duża, jak daleko sięga jej język.” „Nie, to, że się urodziłem Żydem, nie rozgoryczyło mnie nigdy przeciwko Niemcom. Nie byłbym godzien korzystać ze światła słonecznego, gdybym za wielką łaskę, którą mi Bóg wyświadczył, stwarzając mnie jednocześnie Niemcem i Żydem, zapłacił gorzkliwym narzekaniem — z powodu sztydety, którego zawsze nienawidziłem, z powodu cierpienia, które już dawno przebolełem.”

W piśmie „Do Żydów” z r. 1819 bada Börne niektóre przyczyny od dwóch tysięcy lat występującej nienawiści do Żydów. Żydotwo emanuje jakąś nieokreśloną grozą, „jakby zjawia, jakby duch zabitej matki, groźnie i złowrogo towarzyszy chrześcijaństwu od zarania jego dziejów.” Fanatyzm religijny Żydów był dawniej przyczyną ich prześladowań, następnie nienawiść do Francuzów, którzy przynieśli równouprawnienie, identyfikowała Żydów i Francuzów i stała się przyczyną pozabawienia praw, ostatnie przyczyny — to obcość Żydów oraz wspólność interesów

feodalnej i finansowej arystokracji. W piśmie tym Börne jest umiarkowany w patosie dla praw ludzkich, jego argumenty i żądania pokrywają się z hasłami emancypacji, patos jego młodzieńczych wynurzeń jest znacznie zlagodzony. Tak samo jego ówczesne krytyki antysemitki sztuki „Unzer Verkehr” i dramatu Cumberlanda „Der Jude,” jak również jego glossa „Zwangsgottesdienst” — mogłyby być zamieszczone w żydowskim asymilatorskim czasopiśmie illo tempore. Wziął w obronę wrażliwość żydowską (przed karykaturalnym żydłaceniem na scenie), sam jednak później ją atakował, dopóki Jeanette Wohl nie zwróciła mu na to uwagi. Doszedł w końcu do wniosku, że nikt się „z tego zaczarowanego koła żydowskiego” nie wydestanie, że po tylu latach tak daleki jest od wyzzerpania tematu. Posunął się tak daleko, że, odpierając tezy Gabriela Riesera, potraktował go prawie, jak syjonistę. „Rieser chciałby zachować narodowość żydowską”, ale na szczęście stałaby się ona uniwersalna i dlategoby zginęła.

J. R.

Obcy o nas

Niemcy a Żydzi*)

Proces wypierania i zagłady żydostwa niemieckiego stał się dla nie-żydowskiego autora pobudką do napisania większego studium o narodzie niemieckim, o Żydach niemieckich oraz o Żydach w ogóle. Obszerny materiał daje autorowi podstawę do wysuwania wniosków politycznych, ekonomicznych i psychologicznych, które nie raz brzmią oryginalnie. W ramach krótkiej recenzji musimy się ograniczyć do kilku tylko dowodów, toteż polecamy czytelnikom zapoznanie się z oryginałem.

W przeciwieństwie do dotychczasowych wyobrażeń o upośledzeniu i ucisku Żydów, autor uważa Żydów za „narod panujący”. Żydzi wybierają takie zawody, które im dostarczają wolności osobistej i związanych z nią wielkich możliwości. W Niemczech wybrali lekceważone przez Niemców zawody, jak handel, finanse, prasa, teatr, zdobywając dzięki nim stanowisko panujące. W Niemczech północnych i wschodnich, gdzie, w przeciwieństwie do zachodnich połaci kraju, ludność rdzenna w małym stopniu przejawiała zainteresowania przemysłem, Żydzi stali się twórcami wielkiego przemysłu. Podobnie działo się w wolnych zawodach. Po pewnym czasie Niemcy przekonują się, że te, lekceważone przez nich dziedziny, są ważne i stanowią czynnik wpływów. Ta obojętność jest jednym z źródeł nienawiści do Żydów. W pewnej sprzeczności z tym pozostaje stwierdzenie autora, poczynione w innym miejscu, że antysemityzm niemiecki wywodzi się z tych części Rzeczy, w których Żydzi są najmniej liczni.

Po emancypacji Żydzi niemieccy zdecydowali się dobrowolnie zrezygnować ze swej narodowości. W ramach tego procesu asymilacji oddali oni niebywałe zasługi we wszystkich dziedzinach działalności ludzkiej. Nie byli pasywnymi, ablowiem pracowali w imię podniesienia niemieckiej — nie własnej — kultury. Miller sądzi, że u Żydów występują zalety i wady narodów rdzennych, podniesione do kwadratu. Dlatego więc — w odniesieniu do poszczególnych wypadków — zarówno ich przyjaciele, jak i wrogowie, tak często mają rację. W tym miejscu nie możemy się z autorem zgodzić: wśród Żydów niemieckich nie było podniesionych do kwadratu Haarmanna, Stinnesa albo Lahusena — nie było też Tomasza Manna.

Niemcy w dawnych jeszcze czasach wykazywali zdolności asymilowania się. Asymilacja ta była pasywna w Ameryce Płn., gdzie Niemcy licznie równi są elementowi angielskiemu, pozostali jednak bez wpływu (w mniejszym np. stopniu, niż Irlandczycy albo Żydzi) na proces tworzenia się narodu amerykańskiego. Asymilacja Niemców miała jednak także aktywne formy, stwierdza autor, dając następujące dowody: „tylko wielki naród mógł przeżyć niczym twór własny obcą religię (chrześcijaństwo), obce prawo (rzymskie) i obcą sztukę (Shakespeare).” U Niemców występuje duma rasowa, u Żydów: rasowa rezygnacja. Dlatego Niemcy wolą być raczej rasą, niż narodem, a Żydzi współcześni (Syjoniści) właśnie na odwrót. Niemcy pragną „w dobrowolnej samotności śnić spokojnie sen o duchowej hegemonii nad

*) Anton van Miller: Deutsche und Juden. Soziologische Verlagsanstalt, Mähr. Ostrau.

światem”, dlatego asymilowanie się do nich elementu żydowskiego wydaje się im nie do zniesienia. To tłumaczy nam, czemu z programu nacjonal-socjalistów zrealizowano tylko punkt, dotyczący Żydów.

Jest rzeczą mało znaną, że współczesne Niemcy posiadają nie mniej, niż trzy różne teorie rasowe: Aryjczycy (Hitler), Nordyjscy (Günther) i teoria o duszy rasy (Claus), które, mimo zachodzących pomiędzy nimi sprzeczności, istnieją obok siebie. Praktyczna realizacja tych teorii — z wyjątkiem odcinka żydowskiego, nie jest w ogóle uskuteczniata.

„Typowy Niemiec współczesny raz reprezentuje Niemcy, których marzeniem była wolność, indywidualność, duchowa niezależność i humanitaryzm — innym znowu razem jest wyrazicielem Niemiec, opierających się apoteozowaniu przemocy autorytetu i dyscypliny”.

Dowód: pokój w Brześciu Litewskim był w porządku, ale traktat wersalski był krzywdą. Albo też usiłuje się przedstawić zagranicy własny system, jako zbliżony do demokracji. W kraju wychwała się pewne własne czyny, jeśli jednak wieść o nich przedostanie się za granicę, wówczas kwalifikuje się je, jako „Greulpropaganda”.

„Rasa i mistyka, przemoc i namiętność, jako cele same w sobie, przywództwo w imię przywództwa — a nie duchowości, rozsadek i wolność — opanowują marzenia dzisiejszej duszy niemieckiej, ucieleśnione w nacjonal-socjalizmie”.

Przeciw syjonizmowi autor wysuwa argument, że Palestyna zdolna jest wchłonąć najwyżej czwartą część Żydów. Jeśli się jednak nie mylimy, to n. p. w Irlandii również mieszka tylko 1/4 ogółu Irlandczyków. Autor sądzi, że Żydzi nie mogą „tańczyć na dwóch weselach” — w Palestynie mieć swoje państwo, a gdzie indziej zachować swe dotychczasowe pozycje. Irlandczycy mogą jednak tego dokonać. Stalin n. p. jest Gruzinem, Hitler Austriakiem, Blum Żydem. Autor zarzuca, że kolonizacja Palestyny jest przeprowadzona bezplanowo, a działa na jej terenie 20 partii żydowskich. Gospodarka planowa jest jednak trudna do osiągnięcia, nawet, gdy dysponuje się środkami władzy państwowej — bez tych środków nie jest ona możliwa. Gdyby wszystko inne było w Palestynie w porządku, nie zaszkodziłyby też nam 20 partii; ich istnienie jest natomiast dowodem owej słynnej „jedności żydowskiej”, w którą tak bardzo wierzą różni antysemitki. — Nie jest też słuszne, że przyczyną prześladowania marańców była tajna wierność dla żydostwa i jego religii. Prześladowano ich tylko dlatego, że wyzwoliwszy się z więzów żydostwa, osiągnęli najwyższe pozycje. Na znak protestu wnukowie ich powrócili do żydostwa, jak to się także współcześnie bardzo często zdarza u chrześcijańskopruskich potomków żydowskich.

Omawiając Żydów wschodnich, autor stwierdza, że ci, żyjąc w stanie wyodrębnienia, nie stworzyli własnej wiedzy świeckiej i sztuki. Autor prawdopodobnie nie wie, że książka d-ra Maksa Diamanta, która ukazała się ostatnio w Wiedniu (Löwit-Verlag), wykazała istnienie bogatej i opierającej się na prastarych tradycjach, żydowskiej sztuki ludowej. — Wreszcie chcielibyśmy autorowi zwrócić uwagę, że historia żydowska nie zna Ahaswera, a legenda o nim powstała dopiero w średniowieczu; do tego w pierwszej

wersji tej legendy Ahaswer nie miał być w ogóle Żydem i nosił inne imię.

M. S.

Austriacki rasista o kwestii żydowskiej

Prof. A. Drexel: Die Judenfrage in wissenschaftlicher Beleuchtung. Universitäts-Verlag Wagner in Innsbruck.

Prof. A. Drexel, kierownik „Institut für Rassenforschung” przy Uniwersytecie w Innsbrucku poświęca swą pracę sprawie żydowskiej i drogom jej rozwiązania. Daje nam najpierw stan faktyczny kwestii żydowskiej, uwzględniając w szczególności jej stronę gospodarczo-polityczną, a następnie przechodzi do omówienia momentów rasowo-biologicznych oraz stosunki Żydów wobec życia gospodarczego, by wreszcie zająć się zagadnieniem rozwiązania sprawy żydowskiej. Zaznaczyć należy, że autor zajmuje się stosunkami specjalnie austriackimi. Rozważa możliwości zasymilowania, wyodrębnienia i odosobnienia. Na tym tle autor przechodzi do syjonizmu, wyrażając poglądy, że jego perspektywy są „niekorzystne, a nawet rozpaczliwe”, ponieważ — jak mniema — syjonizm idzie na przekór czynnikom rzeczywistości, a więc dlatego nie może się udać. Drexel przypuszcza, że koloniści żydowscy w Palestynie po większej części nie nadają się do pracy przy up. wie roli. Idei syjonistycznej brak też bazy faktycznej, ponieważ żydostwo religijne zanika co raz bardziej, a pojęcie narodowości nie wystarcza z powodu braku rasowej jednolitości wśród Żydów. Wreszcie autor powołuje się na sprawę arabską, jako argument przeciw urzeczywistnieniu syjonizmu.

W pracy prof. Drexela odczuwa się daleko idący brak zrozumienia dla rzeczywistych zagadnień, Drexel oświadcza, że należy każdemu krajowi i narodowi pozostawić swobodę wyboru metody i drogi rozwiązania kwestii żydowskiej. Rozwiązanie to musi być jednak oparte na zasadach ludzkości. Największa — według autora — droga prowadzi pomiędzy asymilacją i eliminacją, a oznacza ona wyodrębnienie w sensie wyraźnego rozgraniczenia osób, rzeczy i stosunków narodu rdzennego oraz elementu żydowskiego.

Prof. Drexel, zajmując się przede wszystkim stosunkami austriackimi, żąda, aby odnosił się do tych spraw przepisami ustawy żydowską (Juden-gesetz). Autor uznaje rolę antysemityzmu, jako czynnika, dążącego do rasowo-biologicznej czystości oraz gospodarczo-politycznej obrony narodu rdzennego.

O. Z.

KRONIKA LITERACKA

WSPOMNIENIA O BIALIKU. Ukazała się książeczka Jakuba Fichmana, zawierająca wspomnienia i szkice o Bialiku. Żywym tokiem przewijają się tu epizody z życia wielkiego poety oraz rozmowy z nim prowadzone i notowane przez autora pod świeżym i bezpośrednim wrażeniem.

J. OPATOSZU O SWOJEJ PODRÓŻY PO PALESTYNIE.

Nakładem „Literarische Bleter” wyszedł zbiór wrażeń z podróży po Palestynie Józefa Opatoszu, ogłoszonych przedtem w nowojorskich „Zambicher.” Zbiór ten odbiega wyraźnie od dotychczasowych publikacji tego typu, nie tylko literackim poziomem, ale ciekawymi zestawieniami porównawczymi obecnego położenia kraju ze stanem dawnym.

NOWA POWIEŚĆ H. G. WELLSA.

Ostatnia powieść Wellsa „Gracz w krokiet”, uderza w ton dużego pesymizmu, który karze w obliczu objawów nadźgniętego porządku kapitalistycznego zamknąć się w sobie, popaść w kompletną obojętność i beztroską obojętność. Indywidualizm autora jest tu wypadkową rezygnacji i niezaradności wobec istniejącego „porządku” rzeczy. Wydzwiękiem powieści jest takie mniej więcej rozumowanie: „niech świat cały, niech cywilizacja całą licha weźmie; zagrajmy w krokiet!”...

LISTY H. BARBUSSEA.

„Commune” ogłasza listy Henri Barbuse'a do swej żony z r. 1917. Listy te, pisane z frontu, odzwierciedlają nastroje poety w okresie powstania jego czołowego dzieła, „Ogień”, ogłoszonego później w piśmie „L'Oeuvre.”

NAJBLIŻSZE PLANY LIONA FEUCHTWANGERA.

W wywiadzie, udzielonym sowieckiemu współpracownikowi pewnego wydawnictwa, wyjawiał Lion Feuchtwanger szereg swoich zamiarów na najbliższą przyszłość. Życiu niemieckich uchodźców w Paryżu poświęcona jest sztuka „Emigranci”, napisana dla teatru im. Wachtangowa. Na tenże sam temat napisze scenariusz filmowy, będący poniekąd dalszym ciągiem powieści „Erfolg”. Inny scenariusz filmowy opary jest na „Rodzinie Oppenheim”, do którego pierwsze przygotowania filmowe czynione w Rosji budzą w autorze silne zadowolenie. Ponad to zajmuje się wybitny powieściopisarz redakcją swoich dzieł w tłumaczeniu rosyjskim, opartą na zupełnie odmiennych przesłankach, niż wydanie ich w innych językach.

CIEKAWY DLA CENZORÓW I — ICH OFIAR...

W oxfordzie urządzono ostatnio wystawę ilustrującą dzieje cenzury ostatnich lat 400. Wystawa jest niezwykle ciekawa i — pocieszająca. Pocieszająca z dwóch względów: ponieważ ukazują stare, ale niemieckie typowe kompromitacje cenzury (za Henryka VIII. tłumaczenie Nowego Testamentu było przez nią ściągane jako szczyt herezji...), i ponieważ dowodzi, że obecne jej okrucieństwa są prosto głaskaniem w porównaniu z tym, co czyniła dawniej. W okresie najbardziej rozpanoszonej cenzury, za Tudorów, autor „Historii Włoch” (r. 1549) został powieszony i poćwiartkowany za obraźliwe uwagi pod adresem włoskiego kleru, które godziły zarabek w osobę Marii Stuart. Johnowi Stubbowi za wystąpienie przeciwko planowanemu małżeństwu kr. Elżbiety z ks. d'Anjou, obcięto ramię. Niechaj więc współcześni autorzy będą radzi i pocieszeni losem swych przodków po piórze.

NOWA KULTURALNA PLACÓWKI W PARYŻU.

Nowo powstałe stowarzyszenie żyd. literatów i dziennikarzy w Paryżu rozwija ożywioną działalność, zakrojona na dalszą metę, w postaci imprez literackich i wieczorów klubowych. Do stowarzyszenia tego przystąpiło dotąd około 40 literatów i dziennikarzy z Paryża i prowincji.

NOWY DRAMAT K. CZAPKA.

Znany pisarz czeski, Karol Czapka, autor szeregu ciekawych dramatów o treści satyrycznej, wywołał ostatnio żywe zainteresowanie nowym utworem scenicznym p. t. „Biała choroba”, granym z powodzeniem na scenach czeskich. Duży rozgłos zyskał sobie też w Anglii utwór satyryczny tegoż autora p. t. „Bój z płazami”. Transponuje w nim Czapka, podobnie jak w niektórych innych swoich sztukach, aktualne zagadnienia społeczne na alegorię zwierzęcą, zaprawiając to ujęcie dużą dozą humoru.

LION FEUCHTWANGER

FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

4)

Tymczasem Terencjusz powrócił do domu przy ulicy Czerwonej. Usiłował ukryć zarówno przed Cają, jak i przed niewolnikiem Knopsem, swój podniosły stan i swe przynębnienie. Zadowolony się opowiedzeniem w dobrze zagrany obojętny sposób o tym, jak zdumiony był Varro jego polityczną i literacką wiedzą, opowiedział, że senator zaprosił go do siebie, aby mógł się bardziej przed nim wypowiedzieć. Caja, trzeźwa i sceptyczna, jak zwykle, zauważyła, że powinien mieć się na ostrożności, aby się nie zagalopować. Słyszała bowiem, że między Varronem i gubernatorem powstał spór, a wobec tego taki szary człowiek, jak Terencjusz, powinien się jak najdalej od tego trzymać. Terencjusz słuchał z przykrością, jak jego własna żona nazywa go szarym człowiekiem.

A z resztą nie miała racji. Obiad u Varrona był bardzo przyjemny. Senator uważnie wysłuchał politycznych poglądów swego klienta, prosił o zadeklamowanie mu wierszy oślepego Edypa, pochwalił fachowo i Terencjusz rozstał się z nim bardzo uspokojony.

PRZEOBRAŻENIE TERENCJUSZA.

Jednakże w mieście Edessie rozpowszechniały się coraz szerzej pogłoski, jakoby z gmachu rządu w Antiochii wiał teraz inny, nie dobry wiatr. Troskę i gniew wzbudził fakt, że Varro, najszanowniejszy obywatel państwa Edessy, zmuszony został do zapłacenia podwójnego podatku. Co stanie się z handlem Edessy z prowincją Syrią, jeśli uzna się takie podwójne opodatkowanie za zasadę? Opowiadano sobie również, że nowy gubernator zamierza wzmocnić garnizony rzymskie w Edessie, Samosata, Carhe i Palmyrze i w ten sposób zwięź bardziej jeszcze suwerenność małych państw Mezzopotamii, którym i tak nie wiodło się najlepiej.

W tych okolicznościach zarówno klienci, jak i inni agenci Varrona, nie musieli wysilać się zbytnio, aby pobudzić ludność buforowego państewka do gorzkich porównań dzisiejszych panów, cesarza Tytusa i jego urzędników, z dobrym ciągle jeszcze oplakiwanym cesarzem Neronem. Jak łaskawy był ten zmarły cesarz dla Wschodu, jak popierał przez fundacje i przywileje kulturalne i handlowe stosunki między Mezopotamią i Syrią. On był prawdziwym cesarzem i kochano go już choćby tylko dla przepychu, jaki rozciągał on sam, jego ministrowie, generałowie i gubernatorowie. Luksus jego igrzysk, fakt, że osobiście występował przed całym narodem na scenie jednał mu w Mezopotamii olbrzymią sympatię i aż po granice kraju Partów wzbudził powszechny entuzjazm, gdy kiedyś obiecał, że Wschodowi również pokaże swą sztukę. Widziano w nim istotnie drugiego Aleksandra, który przybył nie po to, aby Wschód ujarzmić, lecz po to, aby kraje wschodu i zachodu słońca spoić w jedną całość. Nowi panowie natomiast, flawijscy cesarze, od pierwszej chwili nie ukrywali bynajmniej, że dla nich ludzie Wschodu są barbarzyńcami, zdatnymi tylko na to, aby wykorzystywać ich wszelkimi sposobami. To, że Rzym przysłał teraz do Syrii tego wstrętnego Ceiona dowodziło raz jeszcze złą woli rządu. Na nowo odżyła tęsknota po straconym cesarzu. „Tak, gdyby Nero żył jeszcze,” — wzdychali marząc o nim, którzy rano zbierali się przy studniach, a o wczesnym mroku w szynkowniach.

Podczas gdy takie poszepty szerzyły się co raz bardziej między Eufratem i Tygrysem, senator Varro zaprosił po raz drugi do siebie Terencjusza. Tym razem byli sami. Varro był milczący, zagłębiony w myślach, zaabsorbowany. Terencjusza traktował z wielkim wyróżnieniem, bodaj że jak wyższego od siebie. Pozwalał, aby rozmowę dzieliły długie przynębniające pauzy. Chociaż zaś Terencjusz miał wycucie uroczystości i czuł się pochlebiony, nie mógł jednak obronić się przed uczuciem bezradności.

Po posiłku, przy winie, Varro zwrócił się doń wprost z bajliwym przebiegłym uśmiechem: „Widzę, że zawsze jeszcze przedkładaś twoją mieszanię, nad jakiegokolwiek inne wino.” Poleciał albo-

wiem zmieszać wina w sposób, wynaleziony przez cesarza Nerona; ta mieszanią i jej nazwa, była jedną z nie wielu pozostałości po cesarzu, której nie tknęli jego następcy po upadku Nerona, i każdy, oczywiście również i Terencjusz, uznał ten napój i jego nazwę. Podniósł oczy, nie rozumiejąc. Dziwne słowa potężnego pana i uniżenie przyjacielski ton, jakim zostały wypowiedziane, zmieszały go, więcej — ogłupiały. Varro jednak ciągnął tym samym oddanym tonem dalej: „Może pozwalam sobie na zbyt wielką poufalskość, ale muszę wypowiedzieć w końcu to, co mnie od tygodni dręczy, a co mi teraz stało się oczywistością: mianowicie, że wiem, kto wówczas po pozornej śmierci cesarza Nerona udał się do mnie i pod moją się schronił opieką.”

Trzeba było na to, aby zrozumieć ukryty sens tego nieoczekiwanego zdania, człowieka o bystrej, wyostrzonej inteligencji — takim zaś człowiekiem garncarz Terencjusz nie był. Słowa Varrona jednakże trafiły do najgłębszych, najskrytszych zakamarków jego duszy, do jego piekającej ambicji, do tęsknoty po minionych wielkich dniach na Palatynie. Podczas słów Varrona obudziło się natychmiast gwałtem tłumione wspomnienie jego świetnego wystąpienia wobec senatu i weszła w nim obłądna nadzieja powrotu owych wielkich chwil. Dla tego też zrozumiał tajemnicze słowa senatora znacznie szybciej, niż Varro się tego spodziewał, wchłonął je wszystkimi fibrami duszy, smakował aż do dna ich uszczęśliwiający sens. Jeden poznał go, jeden rozumiał, kto miał w sobie tak wiele z krwi i kości Nerona, ten musiał być prawdziwym Neronem.

Podczas gdy jednak przepełniony był niesamowitą błogością tej sekundy, zbudziła się w nim wrodzona mu przebiegłość i podszepnęła, że lepiej będzie, jeśli będzie udawał i swe prawdziwe. Ja da poznać dopiero znacznie później. Udawał więc w dalszym ciągu głupca, twierdził, że nie rozumie, dokąd zmierza jego dobroczyńca i doprowadził ostatecznie do tego, że Varro przeraził się, że nie dobrnie do celu. Senator zrobił jeszcze jedną, ostatnią próbę. Prosił uniżenie o wybaczenie, rzekł, jeśli pozwolił sobie posunąć się w stosunku do swego gościa za daleko. O ile bowiem sądzi, że nie nadeszła jeszcze chwila ukazania blasku swego majestatu Rzymowi, lub też jeśli pragnie pozostawić ten świat, który go zapoznał z racji tego właśnie, własnemu losowi, on, Varro, prosi o wybaczenie mu śmiałości, z jaką pozwolił sobie dotknąć zasłony jego tajemnicy.

Teraz jednak Terencjusz zląkł się, że jeśli nie schwyci przyjęty, może być za późno i ta jedyna okazja rozwieje się na zawsze. Nagle przestał być tępym głupcem, uśmiechnął się młodzieńczo, dobroduszenie, chytrze, jak uśmiechał się czasem w jego obecności cesarz Nero, podszedł krokiem Nerona ku senatorowi, poklepał go ruchem Nerona po ramieniu i rzekł jedynym, niezapomnianym, niedbale dumnym tonem Nerona: „Czemu miałbym ci nie wybaczyć, mój Veronie?”

Prawdziwy Neron, o tym Varro wiedział dobrze, w tej sytuacji nigdy nie odczekał się w ten sposób. Przytoczyłby raczej jakąś grecką cytata i wykonał określony, odrzucający, odsuwający od siebie ruch ręką. Słowa jednak tego człowieka brzmiały tak zdumiewająco i zmarły Neron, jego głos, ton, krok stał się nagle tak niepokojąco żywy, że Varro przeraził się i przemknęło mu przez głowę, że jego myśl jest może zbyt dobrym pomysłem i pociągnie za sobą nieprzewidziane skutki. Opanował się jednak i rzekł, całkiem trzeźwo, kończąc rozmowę: „Tak, kochany Terencjuszu, tak by więc to było.” Przez resztę wieczoru był znów wielkim panem, jak dawniej, i zwracał się do niego, jak do swego klienta; łagodnie i rzeczowo.

Garncarz Terencjusz widział jednak to, co widział i słyszał, to co słyszał. Był tak pewny swej sprawy, że nawet raptowna zmiana w zachowaniu się Varrona nie mogła umniejszyć jego szczęścia.

7.

VARRO POZWALA SOBIE NA ŻART.

Senator Varro, pehnawszy sprawę już tak daleko naprzód, uważał za właściwe zhadac, czy rzeczywiście będzie mógł prze-

prowadzić swój plan. Przede wszystkim należało przemyśleć, jak dalece jego Neronowe plany były realne.

Pewne możliwości istniały. Lud nie wierzył nigdy, że Nero zmarł naprawdę. Uważano cesarza za człowieka zbyt mądrego na to, aby mu się mogło nie powieść wymknąć się z rąk jego przeciwników. Przede wszystkim na Wschodzie panowało przekonanie, że Nero żyje w ukryciu, aby pewnego dnia w blasku sławy zjawić się znów na widowni. Jeśli teraz, w tej korzystnej sytuacji, ukaże się człowiek, ciałem będący Neronem, kierowany zaś przez kogoś, znającego Neronowego ducha tak dobrze, jak on, Varro, jeśli ten człowiek pojawi się na niezawisłym terytorium, nie łatwo uchwytnym dla Rzymu, wówczas taki Nero z pewnością przez czas dłuższy będzie się mógł utrzymać i przyczynić nie mało trosk gubernatorowi pogranicznej prowincji, a może nawet samemu Palatynowi.

Varro przemyślał o tym nad ranem; leżał jeszcze w łóżku, przeciągnął się, uśmiechnął się, znów przymknął oczy.

Kiedy jego Nero ukaże się po drugiej stronie Eufratu, co będzie mógł przedsięwziąć przeciwko niemu Straszak? Oczywiście, będzie Nero dość zrzeczny na to, aby jak najrzadziej pokazywać się poza syryjską granicą. Wprowadzi niepokój do prowincji, aby we właściwym czasie powrócić znów do niezawisłego kraju, gdzie znajdzie tajemne, albo też nawet jawne poparcie. Na co może się zdobyć przeciw niemu Antiochia? Czy wysła wojsko do obcego kraju? Nad tym Straszak zastanowiłby się ze dwa razy. W swoim czasie mocno targowano się o każdego poszczególne rzymskiego i partyjskiego żołnierza, któremu miało przysługiwać prawo przebywania na terytorium państwa buforowego. Od Eufratu do Tygru nie jest znów tak daleko. Jeśli Rzym wysła armię poza Eufrat, narazi się na niebezpieczeństwo spotkania z oddziałami, pochodzącymi z drugiej strony Tygru.

Varro wstał z łóżka. Bosymi stopami podszedł do ściany, wyjął skrzynkę, którą tam przechowywał. Wyjął zeń dokument. Po raz setny odczytywał tekst pieczętowanym głosem: „L. Ceion, gubernator cesarskiej prowincji Syrii, potwierdza odbiór od P. T. Varrona sześciu tysięcy stercerji podatku inspekcyjnego”. Poglądał dokument, uśmiechnął się, schował go znów, schował skrzynkę i wrócił do łóżka.

Czy ma pozwolić sobie na ten żart? To jest dobry, głęboki, otwierający dalekie perspektywy żart, ale przeklećcie niebezpieczny. To nie żart. Czy chodzi o to pokwitowanie? Czy chodzi o Straszaka? Nie chodzi nawet o niego samego. Chodzi o Wschód, ten wspaniały, wolny, pełen mądrości, zawiły Wschód, który nie powinien dostać się pod but brutalnych, ciasnogłowych żołdaków z Palatynu.

Varro myślał o tych czasach, kiedy po raz pierwszy przybył do Syrii jako młody oficer armii feldmarszałka Corbulona. Stałe przebywał wówczas w bezpośrednim otoczeniu sławnego wodza. Corbulo, prawdę mówiąc, miał słabą głowę, nie posiadał ani właściwego instynktu, ani bystrego rozumu, był jednak głęboko przekonany o swych zdolnościach, umiał rozkazywać, jak nikt inny, posiadał technikę oczywistego pańskiego występowania. Varro wielu się odeń nauczył. Zresztą w krótkim czasie przeżył tego Corbulona. Przekonał się, że najłatwiej zdobyć go można przez bezgraniczne podziwianie go. Zdobył go. W krótko doszedł do tego, że on, młodzieńki debiutant, sugerował sławnemu doświadczonemu wodzowi własne idee, że w rzeczywistości on prowadził syryjską politykę. W owych to latach powstała jego namietność dla Wschodu, pragnienie panowania tu. Sprawiło mu olbrzymią rozkosz traktowanie z tymi królami, kapłanami, kupcami w ich kwiecisty, zawiły, niespieszny sposób, przechytrzenie ich krzywych dróg jeszcze bardziej krzywymi, tak, aby w końcu zawiązać musieliby do jego celu. Właściwie od czasów Corbulona Varro panował zawsze w tym kraju.

(C. d. n.)

Dr. St. Rumelt

Kulisy nagród literackich

Trzy nagrody literackie za rok 1936 przyznano — jak wiadomo — samym poetom: Wierzyńskiemu (nagroda państwowa), Kolonieckiemu (nagroda m. Warszawy) i Łobodowskiemu (nagroda „młodych” P. A. L.). Wszystkie te nagrody zostały wyznaczone przez sfery oficjalne (rząd, samorząd, Akademia), nie więc dziwnego, że prócz rzeczowych wpływów na decyzję jury węgły pozaliterackie. Dlatego bezcelowe byłoby zastanawianie się na tym, czy innym wyborem jury owych instytucji, niezależnie od tego, czy decyzja była trafna, czy nie. Jury państwowe przestrzegają zwykle tradycyjnej kolejki (liryka, epika, dramat). W tym roku przyszła kolej na lirykę, a ponieważ z żyjących poetów Młodej Polski zostali już wszyscy obdarcowani, więc obecnie należało się wyróżnienie Skamandrytom. Po Tuwimie najwybitniejsze miejsce wśród nich zajmuje Wierzyński, który poza tym zasugerował swoją osobę nasunięciem państwowemu tematowi („Wolność tragiczna”). Otrzymał więc nagrodę Wierzyński, a dlaczego nie Tuwim — wiadomo...

Mniej zrozumiałe i mniej ciekawe jest

tło wyróżnienia Łobodowskiego czy Kolonieckiego, ale zakulisowe inspiracje nie interesują nas zbytnio.

Natomiast warto dłużej zastanowić się nad decyzją sądu konkursowego nagrody „Wiadomości Literackich” za najlepszą książkę polską za rok 1936.

W skład jury wchodzi wybrani przez czytelników „Wiadomości Literackich” pisarze, którzy mieliby wejść w skład jakiejś Akademii Niezależnych w stylu francuskiej Akademii Concourtów (Choromański, Dąbrowska, Wittlin, Tuwim, Brückner, Strug, Wierzyński, Iwaszkiewicz, Hulka-Laskowski, Jasnorzewska, Slonimski, Parandowski, Nowaczyński, Hlakowiczówna, a Goetel odpadł, bo wszedł do P. A. L. po śmierci Choynowskiego).

A więc członkowie tego sądu — to nie nominaci, jak jurorzy tamtych nagród, lecz wybrani przez rzesze czytelników, głosujących na swych ulubionych pisarzy. Po drugie, ci pisarze są jako tako niezależni, przynajmniej zależni od członków wyżej wspomnianych jury, bo mogą ulgiwać tylko osobistym sugestiom, może nawet towarzyskim, czy pewnie określonej

grupy, ale to jest już mniej niebezpieczne.

A dalej: ważne jest to, że regulamin przewiduje zupełną jawność obrad, więc z wernego protokołu możemy poznać przebieg dyskusji oraz opinie poszczególnych członków sądu. Jawność ta musi dopinguwać do zajęcia stanowiska uczciwego, oraz do przyjęcia wszelkiej odpowiedzialności za głosowanie.

I wreszcie: autor nagrodzonej książki nie może być laureatem żadnej nagrody, co zapewnia wybór pisarza nie tylko młodego, ale i niezależnego, często nieznanego lub niedocenionego.

Dla tych wszystkich względów szczerze zainteresowanie mogły wzbudzić obrady jury nagrody „Wiadomości Literackich”. W ub. r. nagrodę tę szczerze otrzymał za „Sól ziemi” Wittlin, przed 2 laty wyróżnienie Baka było nieporozumieniem, które chyba dziś żenuje jurorów.

Jak wiadomo, w b. r. nagrodę tę przyznano 10 autorom „Pamiętników chłopów” (seria II pozakonkursowych i nie nagrodzonych, lecz zakwalifikowanych do druku).

Jak z przebiegu obrad wynika, zadecydowała Dąbrowska, która jedyna wprowadziła zgłosiła „Pamiętniki” (a niektóre kandydaty zgłosiło równocześnie kilku jurorów), ale z przynależnym jej zaszczyt i uporem i odwagą potrafiła przekonać najpierw Iwaszkiewicza i Wittlina, a później Choromańskiego i Tuwima.

Względy społeczne, państwowe i ogólnoludzkie może górowały nad stroną czysto artystyczną, ale jeśli poza literackimi mają jeszcze wchodzić i inne, postronne czynniki, to dobrze się stało, że właśnie nie osobiste, towarzyskie, czy polityczne momenty zaważyły, lecz zupełnie bezinteresowne, — dodatnie — świadczące o moralnym i socjalnym obliczu członków sądu konkursowego.

Z całym uznaniem możemy wyrazić się o tym pięknym geście jurorów, którzy zresztą mieli regulaminem przewidziane prawo wyróżnienia dzieła luźniej związanego z literaturą piękną.

Dyskusja nad obradami zorientowała nas poza tym, jacy autorzy byli brani poważnie pod uwagę jako kandydaci na nagrodę. Zgłoszone bowiem kandydaty dają wskazówkę, jakich autorów autorytatywna opinia literacka uważa za najlepszych.

Poza „Pamiętnikami chłopów” nie wchodził ściśle w zakres literatury pięknej zgłoszone utwory Wańkowicza i Krzywickiej, a czterech inni kandydaci to autorzy studiów literackich czy historycznych (Kridl, Papee, Ujejski, Czachowski).

Poza tymi pozycjami lansowano najwięcej Kossak-Szczucką („Krzyżowcy”), Worcella („Zaklęte rewiry”), Uniłowskiego („Dwadzieścia lat życia”).

Mało pocieszająca jest refleksja na temat dorobku literackiego za r. 1936, gdy wzmniemy pod uwagę te wszystkie kan-

dydaty łącznie z Łobodowskim i Kolonieckim. Członkowie jury dysponowali niezbyt szczęśliwym doбором pozycji i nazwisk i nie mogli narzekać na embarras de richesse, co w zupełności usprawiedliwia decyzję wyróżnienia autorów „Pamiętników”.

Nasuwa się jeszcze refleksja inna: Rok rocznicowy jest kilku literatów, lecz wśród mniej lub więcej zasłużonych nazwisk tych laureatów nie znalazło się dotychczas jeszcze ani razu nazwisko Tuwima (poza regionalną nagrodą m. Łodzi).

Pominięcie jego osoby przez jury nagrody państwowej jest rażąca krzywdą i to niestety bardzo jednoznaczna. Nikt nie wątpi chyba, że tylko i wyłącznie pochodzenie żydowskie przeszkodziło mu w uzyskaniu tego zaszczytnego wyróżnienia. W tym stanie rzeczy żadna inna nagroda dziś nie mogłaby mu tej krzywdy naprawić, bo ani o nagrodę „Młodych” P. A. L. ani o nagrodę „Wiadomości Literackich” nie wypada mu już dzisiaj się ubiegać, bo nie sposób go zestawić na równi z Łobodowskim, Kurkiem, Kolonieckim, Kossak-Szczucką czy Uniłowskim. Dlatego najdumniejszą i jedynie racjonalną odpowiedzią może być rezygnacja z wszelkich wyróżnień i odznaczeń, gdyż i tak Tuwim zajmuje w współczesnej literaturze polskiej najchlubniejszą bezsprzecznie kartę. A świadomość tego, podzielana przez całą światłą opinię społeczeństwa polskiego, jest dla niego najmilszą nagrodą.

Roman Brandstaetter

Legenda siwiejącego poety

Ja nie pojade, bo przed wyjazdem
Trzeba się ostrzyć,
A ktoś to widział, by przed zwierciadłem
Zasiadł nieboszczyk.

A ktoś to widział, żeby nieżywe
Oczy otworzyć
I patrzeć w źniwo młodości siwej
Przy brzęku noży.

Na szumnym polu kosy i kłosa
To co innego...
A tu się sypią popiołem włosy
Przerażonego...

— Wiersz to wstrząsający i groźny, niesamowity w swym okrutnym realizmie, chyba w poezji polskiej jedna z najpiękniejszych powieści poety — siwiejącego. Z podobnym nabożeństwem czyta się tylko Mickiewicza „Połaję się me ży” — utwór bolesnej kłęski wieszczą, stojącego nad otchłanią nieurzędywionych snów i przegranych bitew. Z mickiewiczowskiego i tuwimowskiego utworu bije ten sam stłumiony, lecz górny akord surowej powagi. Pierwszy akord poetyckiej legendy. Legendy? Tej legendy, poszarpanej kłami antysemitki nienawiści, tej legendy — pytamy szczerze — ochłapanej strumieniami pustej złośliwości przez niektórych publicystów żydowskich?

Geniusz liryczny Tuwima przyszedł na świat wśród huku historycznych wypadków, w chwili, gdy na ziemiach polskich, w ramach odrodzonej państwowości, poczęły się tworzyć pierwsze pojęcia „polsko-żydowskiego nieporozumienia”, gdy nerwy całego społeczeństwa, przeczułone i do ostateczności napięte — ulegały wciąż nowym wstrząsom. W te burze dziejowa — burza wszedł Tuwim. Zaczęło się od dyktarstwa „Wiosna”, od wiersza „Do generałom”, od krzyku i wrzasku endeckich pa-

triotów, od wiersza o „Żydach”, więc potem od głośnych pretensji krytyków i publicystów żydowskich i czarnych kłatw, ciskanych przez nich na głowę poety. Więc dla nas Żydów — był Tuwim oportunistycznym renegatem, dla antysemitów — agentem tajnego rządu żydowskiego. Więc wśród wielu publicystów żydowskich uchodził — za symbol asymilacyjnego załgania, a dla endeckiego publicysty — był upiorną zjawą żydowskiego panimperializmu. Dookoła poety poczęły narastać nieporozumienia coraz grubszą i zwartą warstwą, zwłaszcza od czasu, gdy twórczość jego poczęto badać nie tylko pod mikroskopem literackim, lecz także społecznym i moralnym. A tu pole do złośliwych popisów zawsze stoi otworem.

Rozpoczęło się endeckie czyhanie na Tuwima, zaprzysiężone i czujne obwąchiwanie jego wierszy, poczęły szaleć nacjonalistyczne hece przeciw poecie, który ironią i satyrą często trafiał koszerne narodowe świętości. W tym upartym tropieniu Tuwima rekord pobił hrabia Rostworowski, który niby miniaturowy Rejtan rozłożył się jak długi u wrót polskiej literatury, wzbraniając do niej wstępu poecie. A po drugiej stronie barykady myśny poczęli mierzyć Tuwima łokciem żydostwa. Bardzo to szlachetna miara, ale jak każde wysokie i dostojne pojęcie, nie zawsze zdane do realnych pomiarów. Ten i ów publicysta żydowski ostrzem rozmaitych pretensji godził w Tuwima, począwszy od zarzutów, że jest asymilatorem, a skończywszy na kalumniami, że jest wogóle niechętny żydostwu. Chciano zrobić z Tuwima — sumienie żydostwa. Chciano go wtłoczyć w ramy narodowych problemów, zakłócić w szczytny pancerz idei żydowskiej. Może w tym była i zazdrość, a może i ból, żeśmy ofiarowali literaturze polskiej jej

największego lirika. Lecz ta walka o duszę Tuwima przybierała niekiedy wręcz humorystyczne i karykaturalne formy, graniczące często z pustą farsą. Gdy Tuwim, zamęczony przez tego lub owego żydowskiego dziennikarza, udzielał mu wywiadu i wyrażał się pozytywnie o żydowskiej Palestynie — natychmiast kreowano go na syjonistę, zacierano ręce z radości, zapraszano go do Palestyny i proponowano mu, aby przekładał poezje hebrajskie na język polski. A skoro zaś jakiegoś dnia napisał Tuwim wiersz o żydowskich srulkach, — szybko spuszczano nos na kwintę, pomurkivano złowieszco i ostrono lancet niechęci przeciw poecie. Tak to powstał w żydowskiej publicystyce „kompleks Tuwima”, w którym jak w zwierciadle odbił się nerwowo nurt kulturalnego życia żydowskiego w Polsce. A może nawet ogień naszej — tragedii. Ale winę tego nieporozumienia ponosił też w dużej mierze sam Tuwim, który często świadomie lub nieświadomie dotykał wcale nie kojącą ręką naszych ran i bolączek. Trzeba jednak stwierdzić, że nie czynił tego nigdy z chucpą, z arogancją i z tupetem — w przeciwieństwie do papierowego buntownika Słonimskiego, specjalisty od skandalu i burdy.

Należy więc wreszcie przystąpić do likwidacji „kompleksu Tuwima” w naszej publicystyce żydowskiej i polsko-żydowskiej. W imię czego? W imię lirycznego talentu Tuwima, który nie da się wtłoczyć w żadne pojęcia takiej czy owejkiej przynależności narodowej, w żadne zakamarki szowinistycznych ambicji, w żadne szczeliny bogoojczyźnianej nomenklatury. Tuwim jest poetą *imym*, niż wszyscy dotychczasowi poeci polscy, *innym*, niż wszyscy dotychczasowi poeci żydowscy. Jest samorodnym fenomenem, zjawiskiem,

nie spotykany w całej współczesnej literaturze świata, objawieniem poetyckim, wyzywającym się całkowicie w państwie absolutnego słowa, wywołanego od balastu zbytecznego pojęcia. Tuwim pokonał się — przyciągania treści. Przewycięził prawa grawitacji słowa, dokonał poprostu rewolucji kosmicznej w spokojnej dotychczas fizyce poezji, od setek lat rządzonej kardynalnymi zasadami literackiego kanonu. Z tą tajemnicą często ezoterycznego słowa wyzbytego wszelkiego ciężaru gatunkowego — przyszedł Tuwim na świat. Fenomen! Zjawisko! I jakżeż tutaj definiować jego poezję kategoriami żydostwa lub polskości, słowiańskości lub semityzmu!

Minęły dawne czasy. Jeszcze słychać od czasu do czasu łoskot „Sturm und Drang Periode” tuwimowskiej muzy, jeszcze huczą w uszach naszych gromy jego patosu, ale oto nad poezją siwiejącego poety pochyla się cień doświadczeń, a na każdym wierszu drży gorzki ślad przeżyty — pył dojrzewającej mądrości.

Od chorągwiowych amarantów
Zdąmy cudów niczym w Lourdes,
I uskrzydłonych policjantów
Używamy wśród ulicznych burd.

A on nie Konrad, on nie Gustaw,
Ni Króla Ducha dalszy ciąg,
Jemu wystarczy „Dziennik Ustaw,
Najmistyczniejsza z polskich ksiąg.

I żadnej w tem nie widzę racji,
By rozanielił się nasz wiek: ...
Żebv Anhelim był Zawadzki,
A Wernyhorą wieszczym — Beck.

— tak pisał Tuwim w swych „Wierszach o państwie”, w tragicznych wierszach,

pełnych dysonansów, smutku i — rozczarowań. Bo z ostatniego tomu utworów poety bije już oddech cichej samotności, a są tam już w tym zbiorze wiersze, przepojone zgrzytami pesymistycznymi, pod słowami śpiewnymi zgrzyta zbyt często nuta melancholijnych nastrojów. Głębokie brzoźdy doświadczeń przeorały niejedną twórczość i nazwały go niekiedy nawet stygmatem — rezygnacji.

Gdzie najsmutniej, dziewczyno, tam nasze
spotkania

Tam potrzebna obecność twoja miłosierna,
Na spacerze antycznym, na ścieżce rozsta-
nia.

Gdzie szumi mego serca bezsłowność po-
śmiertna,

Gdzie nagle cień mej duszy — upadnie
kwadratem:

Ciężką płytą grobową. I co krok te cienie,
Wierny księżyc nad starym cmentarnym
teatrem

I ciemny wiatr w orkiestrze i jesień na
scenie.

— takich tonów nie słyszało się dotychczas w poezji Tuwima. Więc czyż bezwrotnie minęły czasy szalonej teofanii, pogańskiego witalizmu, barbarzyńskich skoków przez ogień kosmiczne? Idzie wielka samotność. Nawet zawiedli — wbrew wszelkim pozorom — wczorajsi epigoni. Milczą, lub wylamują się z pod sugestii poety schodzą na manowce banału. Nikt z nich, choć w drobnej części, nie zdołał wydobyc z słowa tyle niespodziewanych spieć, ile udało się to „łódkiemu Pocięciu”; nikt z nich nie umiał osiągnąć tej wysokości twórczej, jaką zdobył Tuwim.

Idzie wielka samotność — pierwsza samotność poetyckiej legendy, która rosła na naszych oczach, z wolna, lecz trwale, z logiczną konsekwencją, wśród szarzyzny codziennego dnia. Pomiedzy nami a poetą wyrosła niespostrzeżenie otchłania, dzieląca krzepnącą w doskonalych formach wielkość — od płynnej rwącej lawy wciąż jeszcze stojącego się pokolenia. Czas pędzi. Odwieczne równe godziny. Sine smugi — budzą w nas dalekie wspomnienie. Dziwne wspomnienie pierwszych przeżyć poetyckich — obelżonych w legendzie o autorze „Treści gorejącej”, który parą pierwszy w dziejach polskiej poezji wydobyl z niej takie tony, o jakich nawet marzyli najwięksi romantycy. Dziwne wspomnienie pierwszych przeżyć poetyckich — obelżonych w legendzie o poecie szczerzym przez polski nacjonalizm i zbyt często niesłusznie oskarżanym przez — żandarmów żydowskich sumień.

Z siwiejącym Tuwimem siwieją pierwsze lata naszej poetyckiej młodości.

Elsa Lasker-Schüler Faraon i Józef

Faraon odrzącił kwitnące niewiasty,
Pachnące ogrodami Amora.

Jego królewska głowa spoczywa na myśli
barkach

Womiejących zbozem.

Faraon jest ze złota.

Jego oczy płyną i przepływają,
Jak migotliwe fale Nilu.

Jego serce spoczywa w mojej krwi,
Dziesięć wilków czaiło się u źródła.

Zawsze pamięta Faraon

Moich braci.

Kłóży mnie do studni wtrącili.

Kolumnami stają się we śnie ramiona jego,
I grozą.

Ale jego rozmarzone serce
Szermerze na dnie mego istnienia.

Oto dlaczego śpiewają moje wargi
Nieskończoną słodycz

W pszenicy naszego świętu.

Przekład L. SZERESZEWSKIEJ

Ch. N. Bialik

Na wiatr westchnienia me najcichsze!
Łzy wchłonał piasek. — Mów szalestem
Gdy brata mego znajdziesz Wicherze,
Ze tu dymiącą głowią jestem...

Szumiało we mnie źródło świata —
Kiedys, i cicho, cicho zaschło.
Już głucha we mnie noc zapadła,
Zetlałe światło ognia zgaso...

Lecz wraca źródło znów, co pierzchło,
Jak rana, cichem już korytem,
Dymi się jeszcze mroczna przeszłość —
W głębi popiołów — zarem skrytym...

Przekład
EDUARDA DORTHAJMERA

Dr. I. Schiper

Jerzy Brandes

Dnia 19 lutego minęło 10 lat, kiedy śmierć zamknęła na zawsze bogatą twórczość Jerzego Brandesa.

Smętne budzą się obecnie w dobie wybuchającego nacjonalizmu i rasizmu — refleksje, gdy uprzątniamy sobie z rąk 10-letniej rocznicy śmierci Brandesa, że zeszedł z nim do grobu jeden z czołowych szermierzów, który ofiarnie pracował nad zbliżeniem narodów i wysoko dzierzył sztandar „dobrego Europejczyka”.

Zaledwie jedno dziesięciolecie, a życie i twórczość Brandesa oddaliły się od nas, jakby istniała przepaść wiekowa między idealami, którym służył wielki pisarz —

a obecną rzeczywistością. „Dobry Europejczyk!” — czyż nie traci to obecnie, w okresie reakcji politycznej i moralności „puszczy”, posmakami okrzykanej i pod stałym ostrzałem pozostającej „Żydo-komuny”, „międzynarodówki” i t. p.? „Dobry Europejczyk!” — czyż nie przychodzi na myśl wszelacy kandydaci do obozów koncentracyjnych lub męczennicy w rodzaju Ossietzkiego?...

Pocieszym się jednak: był za czasów Brandesa podobny do obecnego kurs myśli i wyczynów, była podobna rzeczywistość; była i minęła, aby ustąpić miejsca ideom „dobrego Europejczyka”. Że tylko

odświeżymy w pamięci lata 1872—1877, w których Brandes wygłaszał wykłady na uniwersytecie w Kopenhadze na temat „głównych prądów w literaturze europejskiej 19-go wieku”. Jaka to burza zerwała się wówczas w Danii przeciwko wykładowcy, który ujęciem swego tematu wkrótce potem zyskał światową sławę! Ile to gromów spadło wówczas na głowę wielkiego krytyka! Burzyciel tradycji, anarchista, „Żyd, nienawidzący chrześcijaństwa” — takim to i tym podobnymi epitetami obdarzała Brandesa prasa nacjonalistyczna i klerykałna. Aż wdał się w sprawę aparat państwowy. Usunięty z katedry uniwersyteckiej, opuścił Brandes kraj rodzinny i udał się w dobrowolną tułaczkę do krajów, w których demokracja miała już dłuższą tradycję lub dopiero rozpoczynała zwycięski pochód. Niewiele lat minęło po tym epizodzie, a jak gruntownie zmienił się stosunek Duńczyków do Brandesa: gdy wrócił w 1882 r. do Kopenhagi, nie szczędzono mu uznania i zaszczytów, ba, nawet ponownie zaofiarowano mu katedrę uniwersytecką...

Dla nas ma wspomniany epizod jeszcze i drugie, niemniej symboliczne znaczenie. W okresie dobrowolnego „wygnania” uświadomił sobie Brandes los Żyda i zwrócił się ku niespokojnym Synom narodu — tułaczka, by zawrzeć z nimi przymierze duchowe. Nie jest rzeczą przypadku, że właśnie na owej pięcioletniej emigracji (1877—1882) powstały wspaniałe monografie Brandesa o Lassale’u i Beniaminie Disraelim, nacechowane namiętnym ukośnieniem wolności i sprawiedliwości społecznej, tych odwiecznych ideałów Izraela.

Żyd — Brandes nie przestał jednak być ani na chwilę „dobrym Europejczykiem”. Zidentyfikował antymagiczną ideę żydowską z ideą „europejską” i wytyczył sobie jako zadanie pracę w kuźni „europejskiej” w której wykuwa się ostry miecz rozumu i prawdy. Zadaniu temu dał wyraz w niezapomnianym wstępie, którym zaopatrzył swe pomnikowe dzieło o prawdach w literaturze europejskiej 19-go wieku. W tym to wstępie umieścił przepiękną opowieść o kowalu, który podjął się raz wykuć ostrego miecza. Był zaś ów kowal człowiekiem niewielkiego rozumu, za to wielce nabożnym i wierzył w bóstwa wszelakie, bóstwa — przesady i zabobony, wierzył całą mocą swego prymitywnego ducha. Pragnął mieć stale w swym otoczeniu swe bóstwa — przesady, ustawił ów kowal w swej kuźni ulepione z wosku podobizny swych duchów „opiekuńczych”. Alifsi, gdy miecz zaczął kuć w swym warsztacie i wielki żar buchnął pod miechem kowalskim, nie wytrzymały bóstwa — przesady: potem się pokryły i poczęły topnieć, aż wreszcie pozostały z nich li same plamy...

Tak to wyobrażał sobie Brandes, że w żarze dzieł, pisanych przez niego i przez jemu podobnych „dobrych Europejczyków” ostatecznie w plamy się obróca wszelakie bożyszczka — przesady, wyrosłe z prymitywnego, magicznego ujmowania zjawisk i hamujące pochod wolnej, twórczej myśli.

Miecz swój — pióro dzierzył Brandes mocną dłonią, sprzymierzając się z moca-

Ch. N. Bialik

Wezwijcie żmije...

Zmije wezwijcie, niech gniew wasz po krańce ziemi rozniosą.
Oto rzuceni w pustynię, do śpiętych skal przylgnęliście,
Wokół was nagość odwieczna, przekleństwo Boga milczące:
A oderwani od piersi — swej Ziemi, lona wonnego —
Nie pamiętacie — zieleni, i jej zapachu po deszczu, —
Odwiecznych lasów potęgi, radosnych krzyków strumieni,
Cieni ożywych Jej borów, wiecznie wilgotnych i świeżych.
Gdy się wyczerpał ostatek sił duszy, plennych owoców —
Zwir stał się waszym pokarmem! Spragnieni — glazy liżecie!
Wasza modlitwa — syk węzów, nadzieju — bezmiar pustyni.
Oczy wam wyschły z patrzenia w nagość niebiosów i ziemi,
Gdzie nic orzeźwić nie może serca i oczu spalonych;
A ręka Boga jest gniewna, a oko Jego złowrogie;
Nie ma tu chmury najlżejszej ze skrzydłem wiatru powiewnym —
Zwędniecie w nagiej pustyni, w suchym i groźnym bezkresie,
O śmierć się modląc i krzycząc w męce pustego żywota...
Orły wezwijcie, niech krzyk wasz do serca niebios zamiosą...
Oto nad waszą pustynię spłynęły chmury i wiatry,
Na krańcach ziemi się zbudzą — zwiewne zwiastuny wskrzeszenia.
A chmur wilgotnych gromada — cieszy nadzieją spragnionych.
Niesie wskrzeszenie z oddali, swój napój wargom spalonym.
Drzemią pioruny w chmur tonie i iskra tańczy przed nimi;
Wśród szczytów skalistych się wije i skacze po górach wysokich.
Zbliżą się chmury aż do was piorun wam w oczy zabłyśnie,
Zbudzi się drzący i pęknie na waszych głowach schylonych.
Zadrży milcząca pustynia, a skala się chwiewie pod wami,
I osłupiali wstaniecie, tnięci — ślepotą, zdumieniem,
Ze światła w ciemność, rzucani, raz wraz i w światło i w ciemność,
Dłonie wzniesiecie ku chmurom i oczy — deszczu spragnione!
Lecz chmury błogostawione, skąd przypląnęły, odpłyną,
Pozostanie z piorunu, a deszcze w ziemi zanikną;
Stać opuszczeni będziecie, w cierniach, wśród głazów pustyni,
Z modlitwą ostatnią, jak kłątwa na waszych wargach więdnąca.
Drząc — błagać o śmierć będziecie, aż życie — w próchno was
zmieni... —
Chmury wezwijcie, one wasz smutek — po mórz bezkresy rozniosą...

Przekład
EDUARDA DORTHAJMERA

A N T E N A Ś W I A T A

Front Ludowy w Anglii

Czy rzeczywiście zanosi się na utworzenie frontu ludowego w Anglii? Zapoczątkował go sir Stafford Cripps, przywódca „Ligi socjalistycznej”, poseł robotniczy z Bristolu. Zgodnie z jego projektem uchwalona Liga, która jest czynnym skrzydłem Partii Pracy, utworzenie „Frontu Zjednoczonego” wespół z S. L. P. — odłamek robotników socjalistów i angielskim stronnictwem komunistycznym.

Lecz egzekutywa Labour Party odrzuciła tę inicjatywę i przegłosowała wydalenie z partii Crippsa i jego przyjaciół politycznych. W motywach swej uchwały przypomina egzekutywa, że taktyka współpracy z komunistami została odrzucona na ostatnim kongresie robotniczym w Edynburgu większością 1,805 tys. głosów przeciwko 435 tys.

Jednakowoż Cripps nie uważa się za pokonanego. Jego „Liga socjalistyczna” liczy wprawdzie nie więcej, niż 3 tys. płatników podatków, to jednak przedstawia najpoważniejszą siłę umysłową socjalizmu angielskiego. Durna jest z przystąpienia do niej wybitnego dziennikarza socjalistycznego H. N. Brailsforda i słynnego ekonomisty Harolda Lasky.

„Liga” powołuje się przy tym na przykład Francji: Gaston Bergery był również sam jeden, gdy głosił zaczął hasło „frontu wspólnego”. A w rok później wszystkie organizacje lewicowe i skrajnie lewicowe szły już razem.

Obecnie angielski „Front Zjednoczony” dysponuje sześcioma mandatami w Izbie Gmin. Aby jednak przekształcić ten embriion w prawdziwy front ludowy, należy gruntownie zwalczyć opór oficjalnej Labour Party, jak również pozyskać, zgodnie z zaleceniami komunistów, sympatie liberałów, lewicowo nastrojonych. Inicjatorzy frontu zapewniają, iż od czasu kongresu w Edynburgu zmieniła się mentalność związków robotniczych i że w dzisiejszym stanie rzeczy wypowiedzą się one z pewnością za zjednoczonym frontem.

Najbardziej interesującym punktem programu przyszedł angielskiego frontu ludowego jest: zaniechanie neutralności, w stosunku do kwestii hiszpańskiej oraz dążenie do utworzenia koalicji anglo-francusko-rosyjskiej.

Roosevelt contra Sąd Najwyższy

Wielkie oburzenie panuje w Stanach Zjednoczonych z powodu zaostrowania konfliktu między Prezydentem a Sędzią Najwyższym. Roosevelt usiłuje bowiem podważyć wszechmoc dziewięciu sędziów - augurów, którzy izolowani od świata zewnętrznego w swoim wspaniałym pałacu z białego marmuru (budowa go wynosiła zawrotną sumę 15 milionów dol.), „przywłaszczają” sobie prawo osądzania aktów kongresu i prezydenta. Wszelkie ustawy i decyzje administracyjne, które nie przypadają im do gustu, pozostają nadal martwą literą.

Sąd Najwyższy Republiki został utworzony przez budowniczych i twórców Stanów Zjednoczonych, uczniów Monteskwia, którzy przyjęli teorię o podziale władzy, a to w celu uchronienia wolności obywateli od nadużyć władzy publicznej.

Lecz w rzeczywistości rola Sądu Najwyższego jest od dłuższego już czasu mało sympatyczna. Jego tendencje reakcyjne są bez wątpienia wynikiem jego składu. Jest bowiem rzeczą zadziwiającą, że w kraju tak młodym przez swą dynamikę, jak Stany Zjednoczone, Sąd Najwyższy składa się wyłącznie ze starych. Na dziewięciu członków Sądu sześciu liczy powyżej 70 lat. Prócz tego większość z nich — to starzy adwokaci, byli radcy prawni wielkich trustów. Ten skład najwyższego trybunału prowadzi do sztywnej interpretacji konstytucji kraju, unikając systematycznie wszystkich nowych metod ekonomicznych i socjalnych. Tak np. przed paru laty Sąd zanułowal prawo związkowe, zabraniające pracy nieletnich. W roku ubiegłym zaś uznał za nielegalne prawo Stanu Nowojorskiego, ustanawiające minimum płac za pracę kobiet. Sąd Najwyższy jest od szeregu lat główną przeszkodą do wprowadzenia w życie ustawodawstwa socjalnego i dlatego jest rzeczą oczywistą, iż musiało dojść do konfliktu z prezydentem Rooseveltem, inicjatorem tych reform.

Z szeregu projektów New Dealu, które w swoim czasie były sensacją dnia, Sąd większość zanułowal. Roosevelt jednakowoż nie zareagował natychmiast: nie wystąpił z żądaniem ograniczenia prerogatyw Sądu Najwyższego, jak tego spodziewali się jego przeciwnicy. Jest on zbyt zręczny, aby wpaść w pułapkę, jaką zgotował mu chcieli przeciwnicy. Wiedział doskonale, że Amerykanie są wprawdzie odważnymi powiatami w dziedzinie techniki, bardzo jednak zacofani w sprawach politycznych i traktują dzieło założycieli Republiki — konstytucję stanową, jako tekst święty,

czczony niczym Biblia. Wolał więc zaccakać, aż go wyborcy ponownie zapewnią o swym zaufaniu i ofiarują mu mandat, aby mógł dzieło swe kontynuować.

Teraz wszakże czas nadszedł. Pod pretekstem ogólnej reformy sądowej, w celach przyspieszenia procedury, Roosevelt zaproponował uzupełnienie składu Sądu przez młodszych 6 sędziów, aby sędziowie starsi ponad 70 lat mogli być dublowani w pracy. Ze zaś Konstytucja nie określa liczby sędziów, a dotychczasowa liczba 9 była tylko zwyczajowo ustalona, Roosevelt może projekt wprowadzić w życie.

Zdecydowany opór ze strony „starców” i części społeczeństwa doprowadził do walki, która może mieć dla polityki amerykańskiej skutki wyjątkowej wagi. Obecna partia demokratyczna posiadająca przytłaczającą większość w obu izbach, liczy w swych szeregach, obok gorących obrońców New Dealu, także elementy konserwatywne, które w głębi duszy przeciwnie są polityce prezydenta, a które dlatego tylko nie występują z jego szeregów, że z zasady nie opuszcza się obozu zwycięzcy. Wszyscy ci konserwatywni demokraci występują całkiem otwarcie i przyłączają się do republikanów, aby zwalczać projekt, którego przyjęcie usunęłoby główną przeszkodę na drodze do zrealizowania polityki reform społecznych.

Czy to wystąpienie nie doprowadzi z czasem do secesji w amerykańskiej partii demokratycznej i czy nie doprowadzi do utworzenia lewicowej i prawicy tego stronnictwa, okaże najbliższa przyszłość.

Strajki w Stanach Zjednoczonych

Korespondent „Manchester Guardian” podaje szczegóły, dotyczące ostatnich wielkich strajków amerykańskich:

Rok 1937 rozpoczął się pod znakiem wielkich niepokojów w szeregach robotniczych Stanów Zjedn. Am. Póln. o rozmiarach, nie notowanych w tym kraju od sześć lat.

Zaczął się od wielkiego zatargu między Tow. „Gen. Motors Comp.”, a wielką grupą jego robotników, zorganizowanych w „Zjednoczeniu Robotników Przemysłu Automobilowego Ameryki”. Na inny, nie mniej poważny zatarg zanosi się w najbliższej przyszłości w przemyśle stalowym. Podobnie jak podczas strajku automobilowego, powstał i tu związek robotniczy, który może się już pozyczyć szeregiem sukcesów natury ekonomicznej. Górnicy z kopalni bitumu i antracytu domagają się również poprawy warunków bytu, lecz i oni napotykają na ostry sprzeciw przemysłowców. Przemysł Gumowy, który dostarcza opon dla 27 milionów aut amerykańskich, przeżywa także szereg poważnych strajków. Fali strajków sprzyja niebywały wzrost organizacji robotniczych, co stanowi signum temporis dla Ameryki.

Trzy przyczyny złożyły się na rozwój świata pracy: nawrót okresu prosperity, życiowe ustosunkowanie się Rządu Federalnego do świata pracy oraz powstanie nowych związków robotników przemysłowych, obejmujących w rzucie pionowym wszystkie bez wyjątku zrzeszenia robotników danego przemysłu bez rozdrabniania ich, jak dotąd, na poszczególne związki branżowe.

Historycznie rzecz biorąc, wywarła swój wpływ przede wszystkim zmiana w ustosunkowaniu się rządu. Z chwilą bowiem wyboru w r. 1933 Roosevelta na prezydenta, jako naczelne hasło polityki socjalnej rządu ustalona została zasada, że robotnicy mogą swobodnie łączyć się w związki według własnego uznania. Stosunek administracji Rooseveltowskiej do świata pracy został wówczas wyraźnie sformułowany i w formie ustawy włączony do National Recovery Act. Inna rzecz, że Sąd Najwyższy później nieco odrzucił to prawo, wobec czego musiały być uchwalone inne ustawy, je zastępujące. Tak np. została przyjęta ustawa, domagająca się, aby towary dla dostaw państwowych zakupowane były tylko w takich fabrykach, które przestrzegają zaleceń rządu, w odniesieniu do czasu pracy, wysokości płac i umów zbiorowych. A ponieważ rząd nabywa rocznie tych towarów za sumę około £ 1600 milionów, nie jest więc odbiorcą taki do pogardzenia i nawet najbardziej nieprzyjacielnym wróg rządu z pośród pracodawców, nie ośmiela się atakować umów zbiorowych.

Przemysłowcy uchwycili się natomiast innego środka, usiłując tworzyć konkurencyjne związki robotnicze albo t. zw. „Company Unions”, będące całkowicie pod ich wpływem, organizacje robotnicze ze swojej strony zabiegają o wydanie prawa, zabraniającego tworzenia podobnych „zółtych” związków, lecz walka ta nie jest łatwa. Tymczasem zaś „Company Unions” wyłamują się ostatnio coraz bardziej z pod wpływów pracodawców i stopniowo przechodzą na drugą stronę. A możliwości zatrudnienia są wciąż jeszcze

ograniczone, zaś współzawodnictwo między robotnikami w nie małym stopniu demoralizuje ich szeregi. Aczkolwiek rząd od 1933 r. udziela pomocy bezrobotnym, jest ona tak nieznaczna, że wielu bezrobotnych, którzy zostali już zarejestrowani chętnieby przy pierwszej okazji wrócili do prywatnego przemysłu. Ogólna liczba bezrobotnych sięga dziś zawrotnej liczby 10 milionów.

Nie mały wpływ na rozwój wypadków w świecie robotniczym wywarły powstałe niedawno organizacje robotnicze nowego typu. Twórcą ich jest John Lewis, długoletni przewodniczący związku górników, który ostatnio otwarcie wystąpił z Amerykańskiej Federacji Pracy. Federacja nigdy nie starała się zorganizować niewykwalifikowanych lub częściowo wykwalifikowanych robotników. Wystarczyło jej, że w szeregach jej znalazła się arystokracja robotnicza, która w najlepszym okresie rozwoju organizacji nie przekraczała 10% ogółu robotników.

Lewis stworzył przed pewnym czasem „Committee for Industrial Organisation” w celu utworzenia sobie drogi do szerokich mas pracujących i stworzenia „pionowych” związków, o których wyżej była mowa. Część związków, należących do Federacji, oderwała się od niej i przystąpiła do Lewisa. W ten sposób Federacja straciła wielu z pośród swych członków, a tym samym i dochody o 1/3, a na terenie Stanów ukazały się obecnie dwie organizacje robotnicze, jedna z Lewisem na czele, a druga z Greenem.

Wszystkie strajki wybuchły tam właśnie, gdy nowa organizacja Lewisa była już utworzona. Przemysłowcy, przeciwni związkom, często posługują się brutalną taktyką, która gdzieindziej nie byłaby do pomyslenia. W każdym niemal strajku są zabici i ranni, angażuje się często łamiestrajków, prowokatorów i t. d. Zaledwie parę miesięcy temu uchwalił dlatego Kongres ustawę, zabraniającą przeprowadzenia z jednego Stanu do drugiego łamiestrajków.

Robotnicy jeli się nowej broni w postaci strajków okupacyjnych (sit-down strike). Sympatie publiczności są przeważnie po stronie okupujących.

Wszystko obecnie zależy od polityki Roosevelta, jaśli pozostanie wierny swoim dawnym oświadczeniom to „Committee” Lewisa poczni w bieżącym jeszcze roku znaczne postępy. Jeśli zaś będzie usiłował popierać pracodawców, to możliwe jest, że dojdzie do gwałtownych zatargów.

Asymilacja w Sowieciech

Konstytucja Rosji Sowieckiej zapewnia formalnie wszystkim narodom, zamieszkującym w Z. S. R. R. pełny i nieskrepowany rozwój kultury narodowej i języka ojczystego. Również i język żydowski korzysta z pełnych uprawnień, tak, że w języku tym prowadzone są nie tylko szkoły powszechne i średnie, ale nawet i szkoły wyższe, jak również niektóre akademie naukowe.

Żydowski teatr w Z. S. R. R., subwencjonowany przez państwo, ma ponoć sławę światową. Poza tym „idysz” panuje również w niektórych dziedzinach sądownictwa, klubach, muzeach i t. d.

Faktycznie jednak, jak pisze W. Latzki-Bertholdy w „Jüdische Revue”, żydostwo rosyjskie nie idzie po linii własnego rozwoju narodowego. Najlepiej ilustruje to statystyka rosyjska. — Podczas spisu ludności w r. 1897 podało 97% żydów rosyjskich język żydowski, jako swój język macierzysty; w 1926 r. już tylko 73%.

W ten sposób asymilacja z językiem rosyjskim wyniosła wśród Żydów 24%. Zjawisko to posiada przy tym znacznie większe nasilenie w miastach. Podług statystyki z 1926 r. zamieszkiwało wielkie i średnie miasta Z. S. R. R. około 2 milion. 144 tys. Żydów; z tego przynależało do języka żydowskiego — 1 milion 459 tys. Żydów t. j. 68%. Asymilacja Żydów w miastach wyniosła więc 32%.

W Sowieciech jest już dziś wielka masa młodzieży żydowskiej, która nawet nie potrafi czytać ani pisać w języku żydowskim lub hebrajskim.

Np. na Ukrainie Sowieckiej, liczącej ok. 13,4 miliona Żydów, nie zna w ogóle alfabetu żydowskiego około 35% Żydów w wieku szkolnym. W Wielkiej Rosji (z miastami Moskwą i Leningradem) liczba takich Żydów sięga nawet 75%.

To oto zanikanie języka żydowskiego i brak uświadomienia narodowego wśród Żydów świadczą wymownie o rażno postępującej asymilacji Żydów w Z. S. R. R.

Następnym ważnym czynnikiem, wiodącym do całkowitej asymilacji, są małżeństwa mieszane. „Czyste” związki pomiędzy Żydami co raz bardziej maleją, podczas gdy liczba mieszanych małżeństw stale wzrasta. W 1924 r. było małżeństw „czystych” — 24.388, a mieszanych — 1987; w 1925r. — 24.344 wobec 3198, w 1926. — 23.588 wobec 4361.

Umysłowe igrzyska olimpijskie

Pod egidą międzynarodowego Instytutu dla Współpracy Intelektualnej powstało w Montpellier stowarzyszenie, mające na celu urządzenie umysłowych zawodów olimpijskich. Zawody te odbywać się mają co trzy lata i stanowić manifestację międzynarodowej sztuki i myśli, na którą złożą się twory literackie i poetyckie, przedstawienia teatralne, konferencje naukowe i audycje muzyczne, mające służyć zbliżeniu międzynarodowemu. Stowarzyszenie jednoczy liczne osobistości ze świata artystycznego, naukowego i literackiego Montpellier, a w Komitecie Honorowym figurują już nazwiska o sławie światowej.

Błękitna wstęga ...kulinarii

Francja jest — jak wiadomo — krajem, produkującym w dziedzinie gastronomicznej. Niedawno Paryż postanowił zadokumentować tę palmę pierwszeństwa w drodze konkursu o błękitną wstęgę dla najlepszej gospodyni Francji. Ze wszystkich zakątków kraju zjechały kobiety, młode i stare w liczbie stu na zawody kulinarne. W wielkiej sali, której ściany ozdobił były plakatami, ilustrującymi najrozmaitsze czynności przy sporządzaniu potraw, ustawione były długie stoły „operacyjne”, zaopatrzone w maszyny gazowe i szereg najnowszych utensyliów gospodarskich. Szereg pań w śnieżnobiałych fartuchach na wysięgi przystąpiły majonezy, gołąbki pieczone i najrozmaitsze programem przewidziane, potrawy. Specjalnie powołane jury miało za obowiązek nie tylko sprawdzanie recept kulinarnych poszczególnych uczestniczek, lecz również kosztowanie przyrządzonych potraw. Można sobie wyobrazić wysiłki, czynione przez kandydatki dla zaspokojenia czułych i doświadczonych podniebień sędziów.

Łzawa terapia

Lekarz londyński, J. A. Goodfellow odkrył przed paru dniami, że łzy ludzkie po-

siadają niezwykle własności bakterioobójcze. Wystarczy więc od dzisiaj lamentować i płakać, aby „...być zdrowym”.

Gdy byliśmy małymi dziećmi, — to gdy coś nam dokuczało, matki nasze powiadały: „No, nie płacz, to przejdzie”. Matki przyszości zaś zmuszone będą inaczej poczuć swe dzieci: „Jeżeli chcesz, aby ból minął, musisz popłakać”. Zwolna wszystkie nasze poglądy będą musiały ulec zmianie; to, co dotychczas było dobre, okaże się złe i vice versa.

Nie możemy jednakże narzekać, gdyż dr. Goodfellow wybrał odpowiednią epokę dla głoszenia swej teorii. Nie zbraknie nam smutnych okazji. Można już będzie ustanowić racjonalny sposób wyzyskania skutków wszelkiego rodzaju katastrof dla zachowania rodzaju ludzkiego...

Pesymizm, starannie pielęgnowany, wzbogacił arsenal terapii współczesnej. W salonach unikać się będzie rozmów o tańcu i wesołych rozrywkach. Na wieś zapraszają będziemy ludzi, miewających złe sny, przepowiadaczy zła i nieszczęść oraz niepokieszone wdowy, aby w ich „wilgotnym” towarzystwie spędzić antyseptycznie wakacje. Co zaś dotyczy optymistów, to zostanie im jedyna droga uniknięcia epidemii przez... śmiech, ale śmiech do łez.

Uniwersalny dostawca

W tych dniach minęło trzydzieści lat od śmierci Williama Whiteley'a, twórcy wielkich londyńskich magazynów uniwersalnych. W związku z tą rocznicą prasa zagraniczna podaje szereg anegdot z jego życia. Jedną z nich poniżej przytaczamy.

Ponieważ Whiteley cieszył się opinią uniwersalnego dostawcy, pewien dowcipniś zaczął we firmie „pełnego kielicha” żyjących pehel: Whiteley, bynajmniej nie zrążony tego rodzaju zamówieniem, wszedł natychmiast w porozumienie z dozorcą Zoo, który robił codzienną toaletę małp, i z łatwością otrzymał żądany towar. Zakłopotany dowcipniś, chcąc nie chcąc, przyjąć musiał towar, dostarczony mu na czas przez „uniwersalnego dostawcę”.

(L—y)

DZIEŃ Z CHAPLINEM

(Spotkanie z artystą i człowiekiem)

Chaplin zawiózł nas do wytwornej restauracji, położonej w samym centrum miasta, na bulwarze w Hollywood. Goście poznali go, kręcili się dokoła naszego stolika i nie przestawali się przypatrywać małemu, siwemu panu.

Charlie począł okazywać zdenerwowanie. Nie lubię, gdy mnie ktoś obserwuje. „Boję się tłumu ludzkiego, a jednocześnie lubię go. Chętnie błąkam się po ulicach, lubię się wmieścić w masę ludzką, nie chcę jednak, by mnie poznawano. Z chwilą, gdy tylko mnie publiczność poznaje, zaczynam się podniecać i muszę uciekać.”

Chaplin odwrócił się plecami do publiczności i nieco się uspokoił. Przypomniał sobie film „Nowy Gulliver”, który niedawno temu widział, i wyraził swój zachwyt dla techniki i oprawy muzycznej obrazu. Uchwyciliśmy się mocno rozmowy o „Gulliverze”, Chaplin ożywił się, zapomniał o uporzeczonych oczach publiczności restauracyjnej i stał się wesołym i porywającym narratorem.

„Wiecie Państwo, jaki film byłby najodpowiedniejszy dla Rosji? Z. S. R. R. za 50 lat. Ale film nie może być poważny. Wesoła komedia. Lekko satyryczna. Bohaterzy muszą od pierwszej chwili pozyskać sympatię widza”.

Charlie jeszcze bardziej się ożywił. Oczy jego zaświeciły mocnym blaskiem. Zapomniał, że siedzi w restauracji i nie tylko opowiadał o swym projekcie, lecz również plastycznie pokazywał swych bohaterów. „Wyobraźcie sobie chłopca rosyjskiego za 50 lat — w smoku. Wszystko u niego w domu jest zmechanizowane. Naciśnięć guzik i hops — jest palto, naciśnięć drugi — i wyskakuje kapelusze. Chłop wychodzi na podwórze, naciska znów guzik i z garażu wyjeżdża wytworny Packard. Chłop siada przy kierownicy i auto mknie po lustrzanej tafli betonowej szosy. W drodze spotyka swego przyjaciela, jadącego mu naprzeciw w Lincolnie. Witają się, hamują wozy i stają. Pierwszy chłop opowiada drugiemu, że dziś zamiast przewidzianej konst. jednej godziny, pracował trzy godziny. Przyjaciele omawiają w ożywieniu wytworną sytuację i postanawiają udać się do mieszkania drugiego chłopca, aby przy małej zakasce i szklance wina stwierdzić, kto ma zaskarżyć pogwałcenie konstytucji i od kogo należy żądać odszkodowania za 2 godziny nadliczbowe. W domu drugiego chłopca również wszystko działa mechanicznie. Naciśnięć guzik i hops, wyskakuje nakryty stół. Po naciśnięciu drugiego guzika znika zastawa, która jest automatycznie obmywana i wysuszana...”

Charlie jest w swoim żywiole — pokazuje nam swych bohaterów, ich wyraz twarzy; sam przy tym śmieje się serdecznie.

Chaplin rozmawia z nami długo. Ostro się wyraża o faszyzmie i oświadcza, że ruch ten rozwija się w ostatnich latach co raz bardziej w Stanach Zjednoczonych. Kilkakrotnie Chaplin podkreślił, że potępi faszyzm, jednak nie sympatyzuje z żadnym innym kierunkiem politycznym, ponieważ pozostał skrajnym indywidualistą, którego myśli i zainteresowania w zasadzie nie wykraczają poza granice jego dziedziny zawodowej, filmu.

„Mój świat, moje myśli — to mimika, ruchy, gra twarzy i ciała. Muzyka tylko to wszystko uzupełnia”. Charlie wypowiedział się za niemym filmem. Zaznacza jednak, że o powrocie do niego nie może już być mowy.

„Poza tym zmęczony jestem po „Dzisiejszych czasach”. Teraz byłoby dobrze przez parę lat odpocząć. Wiecie Państwo, że nieładnie jest być bogatym człowiekiem. Dawniej byłem bardzo biedny, pracowałem od wczesnego ranka do późnej nocy i zarabiałem parę groszy. Wtedy produkowałem 20 krótkich filmów rocznie. A teraz, gdy kończę film, ogarnia mnie takie lenistwo, że na długie lata tracę chęć do pracy. „Światła wielkiego miasta” ukończyłem w r. 1931, a „Dzisiejsze czasy” w końcu 1935 r.; widzicie Państwo, jakie to duże odstępstwa czasu. Pewnego pięknego dnia kupię sobie farmę; tam będę pracować i ani pomyśle o filmie. Pozostanę na farmie parę lat i później powrócę do Hollywood, aby kręcić nowy film...”

Przypadkowo spojrział Chaplin na zegar. Była godzina ósma wieczór. W rozmowie mijęła godzina za godziną i aniśmy się spostrzegli, że upłynęło na tej miłej rozmowie aż siedem godzin. Charlie zapomniał o swych najważniejszych interesach i o zapewnieniu, że za pół godziny powróci do atelier.

Wysiliśmy, bacznie obserwowani przez wszystkich, na ulicę. Nie chcieliśmy wsiąść do auta i Charlie zgodził się iść pieszo. Głęboko zatopieni w rozmowie, nie spostrzegliśmy, żeśmy doszli aż do nieuczczanego przez ludzi bulwaru w Hollywood. Zachodzące słońce rzucało swe promienie na okna białych, wysokich domów. Wieczór był chłodny, powietrze niezwykle lekkie i przejrzyste. Kończył się dzień, dzień spotkania z Charlie Chaplinem, artystą i człowiekiem.

P. T—z.

Przenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł. Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr.,

Wydawca: TOW. WYD. „STER” sp. z o. o. Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa

Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM